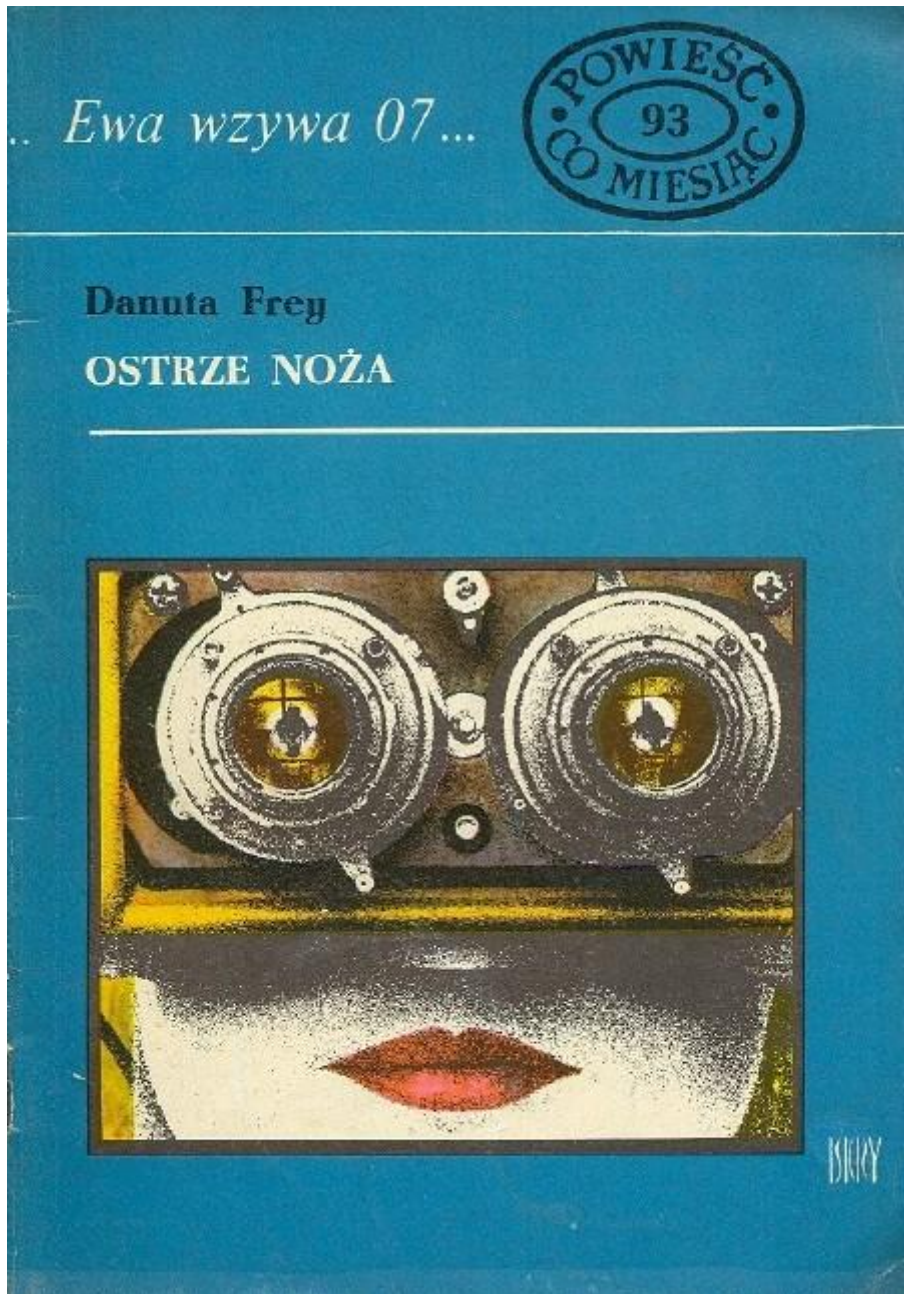


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Danuta Frey

Ostrze noża



Nie zamierzam teraz ani powoływać się na kryptonim, który otrzymała ta sprawa, ani zaglądać do akt, tylko po prostu ją opisać.

Narzuca to oczywiście mój własny, indywidualny punkt widzenia. Ponieważ jednak nie ja jeden brałem w niej udział, będzie to, siłą faktu, spojrzenie subiektywne i — jeśli byście spytali innych — z pewnością otrzymalibyście relację odmienną, może nie w wątku głównym, ale w samej ocenie oraz w spojrzeniu na osobę sprawcy. A przede wszystkim — na człowieka, który został zamordowany.

Wezwanie odebraliśmy pewnego późno-wiosennego przed południem. Datę mógłbym oczywiście podać dokładną, jednakże nie wiem, czy jest to rzecz na tyle istotna, by wprowadzać tu takie akurat szczegóły, jak dzień lub godzinę. W każdym razie wiśnie i jabłonie, na które natykałem się każdego dnia, przechodząc do pracy obok terenów opuszczonych działek, przekwitły i chodnik obok nie był już pokryty wędzącymi płatami. Natomiast zieleń drzew jeszcze nie przyżółkła pod letnim słońcem. Poza tym przed moim oknem w Komendzie zakwitł kasztan.

Nie myślcie, że jestem aż tak wielkim romantykiem, żeby odczytywać porę roku z rosnącego za oknem drzewa. Wprost przeciwnie — koledzy, a także własna żona, uważają mnie raczej za skrupulanta, tyjącego z kalendarzem w głowie i na biurku. Inni jeszcze widzą we mnie pedanta, a — kto wie — może i nadmiernego służbistę, mozolnie pnącego się do kariery. Swego czasu to właśnie zarzucała mi dziewczyna, którą kochałem i z którą się chciałem ożenić. Miała na imię Elżbieta i — wiercie mi albo nie — do tej pory o niej myślę. Oczywiście to już nie to, co dawniej — w końcu jestem człowiekiem żonatym — ale od czasu do czasu mi się zdarza. Może po prostu tkwią we mnie jakieś dwie natury, z których druga, mniej widoczna, skryta jest głębiej?

Tego więc dnia, w którym odebraliśmy wezwanie, za oknem królował zupełnie już rozkwitnięty kasztan, a jego masywne gałęzie dotykały niemal szyb. W pokoju było gorąco, ponieważ okna wychodziły na wschód i — mimo zasłon — nagrzewał się już od samego rana.

Siedzieliśmy z kolegą we dwóch. Kolega miał tego dnia przeprowadzić wizję lokalną, więc w chwilę później wyszedł. Zostawił mnie samego, za to z zestawieniami, które akurat opracowywano, bo się zbliżało półrocze i, jak zwykle w takich wypadkach, gdyż biurokracja i statystyka nikogo nie omijają, trzeba było sporządzić różne sprawozdania. Mój szef okropnie takiej pisaniny nie lubi, z reguły zwala ją na kogoś innego. Tym razem padło na mnie i — zamiast znaleźć pretekst, pod którym mógłbym się wyrwać — musiałem ślęczeć za biurkiem.

Wezwanie, jakie mi przekazano, przyjąłem w tej sytuacji niemalże jak wybawienie od czynności, za którymi również nie przepadam. Tym sposobem błyskawicznie znalazłem się w samochodzie, który również błyskawicznie ruszył na Marymont.

Jechaliśmy ulicą łagodnie wspinającą się pod górę, zataczającą łuk i schodzącą w dół. Przez pewien czas towarzyszyły nam wątle ogródki, potem pas przez al-kogo nie użytkowanych łąk, wreszcie stojące tu i ówdzie pojedyncze przedwojenne kamieniczki. Za chwilę zaczęły się bliźniacze, parterowe i na ogół brzyd-

kie domki, zza których wyłoniły się z kolei — sam nie wiem, czy ładniejsze — szare budynki nowego osiedla.

My jednak nie dojechaliśmy do osiedla. Skręciliśmy pod górę, w ulicę, która niby już nią była, zważywszy choćby na nazwę, lecz jeszcze nie całkiem, biorąc pod uwagę jej stan techniczny.

Droga weszła na szczyt wzgórza i wówczas widok znów się zmienił. Dotarliśmy do szerszej ulicy. Nie to jednak było ważne, lecz świat, w jakim się znaleźliśmy.

Była to właściwie peryferyjna dzielnica willowa. Domu, którego numer wymieniono w wezwaniu, nie potrzebowaliśmy długo szukać. Od razu poznałbym, gdzie stoi, gdyż mimo przedpołudnia, kiedy wszyscy powinni być w pracy, a dzieci w szkole, zgromadził się przed nim tłum ciekawych. Na co czekali — nie wiem, skoro drzwi, zarówno wejściowe, jak i furtka, były zamknięte, za furtką zaś stał dzielnicowy, nie dopuszczając nikogo dalej.

Znałem już takie widoki, często towarzyszą naszemu działaniu. Początkowo mnie to denerwowało, z upływem czasu niemal do nich przywykłem.

Dopiero zza tłumu, za furtką, od której biegła ni to alejka, ni chodnik aż pod schodki domu, zobaczyliśmy samą willę. Jak inne, sąsiednie, także i ta przypominała obmurowany, pudełkowaty sześcian o płaskim dachu.

Przed domem znajdował się okrągły klomb, na którym kwitły przywiednięte bratki.

Frontowa ściana willi była obłożona drobną, kolorową mozaiką. Różnobarwne kwadraciki błyszcząły w słońcu. Przez otwarte drzwi wszedłem do środka.

Początkowo, po słońcu, zaskoczyła mnie ciemność, jaka tu panowała. Do przedpokoju, w którym się znalazłem, nie dochodziła ani odrobina światła, a nasze reflektory na razie wygaszono. Dopiero gdy rozbłysły ponownie, ujrzałem dokładnie, po co mnie wezwano.

Tego widoku nie należy relacjonować szczegółowo, zwłaszcza osobom, mającym słabsze nerwy. Po wiem tylko, że trudno tu było znaleźć miejsce wolne od zakrzepłej krwi. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby komuś. wręcz zależało, żeby pozostawić po sobie jak najwięcej śladów. Albo jakby działał bezmyślnie, na oślep, z furią.

Skinąłem na fotografa. Odpowiedział mi ruchem głowy, który miał "oznaczac, że już skończył. Technicy zdjęli odciski palców ze wszystkiego, co tylko możliwe.

Zapaliłem światło. Zwłoki leżały na podłodze, zwrócone głową w stronę wejścia. Był to mężczyzna lat około trzydziestu pięciu — czterdziestu, ubrany w spodnie i koszulę z krótkim rękawem. Na nogach miał skórzane ranne pantofle. Leżał na plecach, z rozrzuconymi rękami, na których również zastygły smugi krwi.

Najgorzej wyglądały twarz i szyja. Na twarzy, a zwłaszcza na policzkach i wokół oczu widniały głębokie oparzeliny. Całe ciało pokryte było ranami. Nawet nowicjusz w naszym zawodzie scharakteryzowałby je jako zadane ostrym narzędziem. Poprzekłuwało ono koszulę na piersiach tak mocno, że we wgłębieniach pozostały skrawki materiału.

Cofnąłem się robiąc miejsce lekarzowi. Sam pchnąłem drzwi do pokoju.

Okna wychodziły na ogród. Jedno było na wpół otwarte i wydawało mi się, że na podłodze, nie opodal parapetu, dostrzegam jakieś ślady.

Być może — pomyślałem — morderca wszedł przez drzwi, a wyszedł właśnie tędy.

Wychyliłem się. Pod oknem rosły chwasty i wysoka trawa. Zawołałem fotografa i techników. Oględzinami ogrodu zamierzałem zająć się później. Teraz musiałem się rozejrzeć po mieszkaniu.

Obok standardowego umeblowania — stół, szafa, wersalka, cztery krzesła i dwa fotele — dostrzegłem radio oraz kilka pudełek, chyba ze zdjęciami. Wziąłem je do ręki. Miałem rację. Wewnątrz znajdowały się fotografie. Przejrzałem je pobieżnie. Nic interesującego. Większość stanowiły banalne widoczki, wykonane co prawda poprawnie, jednakże bez artyzmu i bez nadmiernej troski o kompozycję. Tylko na jednym zdjęciu pojawił się, i to też na tle szosy oraz otaczającego ją lasu, tył stojącego na poboczu samochodu, bodaj fiata.

To było wszystko. Złożyłem zdjęciu z powrotem do pudełek, obiecując przyjrzeć się im potem bliżej. Sam powędrowałem dalej.

Kolejne drzwi nic odsłoniły przede mną niczego ciekawego, a i oględziny pokoju, służącego prawdopodobnie jako sypialnia, nie przybliżyły mnie ani o krok do rozwiązania zagadki. Pozostał jeszcze trzeci pokój o dość nie sprecyzowanym przeznaczeniu, wreszcie kuchnia, ubikacja i łazienka.

W łazience przeżyłem pierwsze zaskoczenie. Później miałem się przekonać, że będzie Ich w tej sprawie więcej.

Znalazłem bowiem mnóstwo sprzętu fotograficznego, świadczącego, iż łazienki używano zapewne również jako ciemni. Stał tu stół z powiększalnikiem, parę koreksów, butelki z wywoływaczem i utrwalaczem, kuwety. Od wanny aż do drzwi ciągnął się sznurek z zapinkami do przytrzymywania filmów. Rzecz ciekawa — tyle sprzętu, a żadnych klisz ani zdjęć, jeśli nie liczyć stosunkowo niewielkiej ilości tych, które zabrałem z pokoju. Wychodziłem z łazienki z niejasnym uczuciem, że coś tu nie pasuje, coś się nie zgadza — nie było jednak czasu, żeby się zastanawiać, co.

Chciałem jeszcze wejść na piętro i tu spotkała mnie kolejna niespodzianka. Piętro było po prostu jeszcze nie wybudowane. Komuś, kto stawiał ów budynek, nie starczyło widać inwencji, czasu albo pieniędzy, skoro zdołał wykończyć jedynie parter, piętro pozostawiając lepszym dniom.

Tak więc na oględzinach parteru się skończyło.

Kiedy wróciłem do przedpokoju, lekarz był już gotów ze wstępnym orzeczeniem, które brzmiało: śmierć na skutek wielu ran kłutych serca oraz żołądka. Oparze-liny na twarzy powstały wskutek działania na skórę substancji żrącej. Doktor podejrzewał kwas solny, roztwór wodorotlenku sodu, czyli po prostu sodę żrącą, albo roztwór wodorotlenku potasu. Każda możliwość wchodziła w grę. Wyobrażał też sobie działanie sprawcy w sposób następujący: ofiara najpierw zostaje oślepiona żującym płynem, później, gdy się nie może już bronić, pada pierwszy z serii ciosów. Co najmniej trzy z nich — w serce, w lewą komorę płucną oraz w tętnicę szyjną — zaliczyć trzeba do śmiertelnych.

Potem się okazało — i potwierdziła to również sekcja — że doktor miał rację. Z tym, że ogólną liczbę ciosów, zadanych denatowi ostrym narzędziem, zamknięto wreszcie aż na szesnastu. Niektóre z nich były wymierzone na oślep, o czym świadczyło chociażby położenie — nieraz jeden przy drugim. Pierwsze wrażenia, kojarzące je z zaciekłością i rodzajem ślepej furii, zemsty — były więc trafne.

Doktor wyszedł, a zaraz za nim wyszedłem i ja.

Z chłodu pomieszczeniu wpadłem w gorąco ogródka. Nie znalazłem w nim żadnych śladów. Odkryłem za to jednego z naszych funkcjonariuszy w towarzystwie listonosza.

Listonosz był postacią o tyle ważną, że to on właśnie odnalazł zwłoki i on też pierwszy wszczął alarm. Teraz czekał, by mi powtórzyć swoją relację raz jeszcze.

Około godziny dziewiętej rozpoczął codzienny obchód, a około jedenastej znalazł się przed willą. Trochę zdziwiła go zwykle zamknięta, teraz natomiast otwarta furtka. Zazwyczaj listy wkładał do skrzynki, wiszącej przy ogrodzeniu. Tym razem jednak przyniósł list polecony. Zadzwoił — dzwonek znajdował się przy furtce — a kiedy nikt nie odpowiadał, wszedł do środka. Zadzwoił ponownie do drzwi wejściowych.

Wtedy właśnie — listonosz przerwał, aby zaczerpnąć tchu albo żeby lepiej oddać atmosferę tamtej chwili — zobaczył jakieś zastygłe strużki. Ciemniały pod drzwiami, na schodach i — im bliżej wnętrza — tym stawały się szersze., Nacisnął więc klamkę i wszedł.

Co zobaczył — tego nie potrzebował już mi dalej opowiadać. Zapytałem tylko o list, który miał doręczyć denatowi.

Listonosz podał kopertę. Jako nadawca figurował na nim niejaki T. Żuława, zamieszkały w Warszawie.

Otworzyłem kopertę. T. Żuława okazał się Teresą Żuławą, podpisaną pod listem pełnym imieniem i nazwiskiem. List zaczynał się od: „Szanowny Panie Doktorze” i przypominał, wcale zresztą w nie najuprzejmiejszej formie, że pan doktor uiścił zaledwie trzy czwarte czynszu za następne pół roku i że bardzo niechętnie widziana jest zwłoka w zapłacie pozostałej jednej czwartej.

— To on był tylko lokatorem? — zapytałem listonosza, jako człowieka znającego swój obwód.

Listonosz pokiwał głową.

— Wprowadził się jakieś półtora, może dwa lata temu. To długa historia,.. — zaczął i spojrzał na mnie niepewnie, z wahaniem, czy ma mówić dalej.

Skinąłem zachęcająco głową. Zależało mi na tym, ażeby dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów, zanim jeszcze ruszy oficjalna machina dochodzeniowa.

— Otóż tę willę — podjął — stawiali państwo Żuławowie. Całą rodziną tu przyjeżdżali: on, ona i troje dzieci. Dwóch synów i córka. Sami wszystko robili. Sposobem gospodarczym, czyli własnymi rękami. Nie raz się dziwiłem, że się im chce. Każdą niedzielę, każde wolne popołudnie tutaj. Pan Żuława psa nawet kupił, żeby strzegł budowy, na którą pozwoził cegły. Później zaczęły się kłopoty z materiałami budowlanymi, z armaturą. Nie raz, nie dwa pani Żuławowa wypłakiwała się innym, że ta budowa to istny worek bez dna i przekleństwo ich życia, ale — skoro się już zaangażowali — muszą ciągnąć.

No i tak gadała, aż wygadała, Kiedy skończyli parter, zaprosili znajomych i urządzili obławanie, Po-lem pan Żuława zaproponował, że podwiezie parę osób samochodem. Podwiózł jakoś szczęśliwie. Tylko gdy wracał, przejechał na pasach matkę z dzieckiem. Matka przeżyła, dziecko nie. Zbadali krew, był pijany. Dostał siedem lat, no i siedzi do dziś. Rodzina została bez środków do życia. Wtedy pani Żuławowa wynajęła parter. Piętro, nie wykończone, zabiła deskami i czeka na lepsze czasy. Może aż wyjdzie mąż, ale co do mnie — bardzo wątpię, żeby kończyli to, co zaczęli. Myślę, że raczej dom sprzedadzą, bo przecież szczęścia im jakoś nie przyniósł. No i doktorowi — westchnął — jak się okazuje także.

— Doktorowi? — spytałem.

— Tak go tu wszyscy nazywaliśmy. Nikt do niego inaczej nie powiedział, tylko „panie doktorze”. Zresztą, jak wyjeżdżał co dzień swoją gablotą, zupełnie wyglądał jak wielki pan doktor.

Listonosz zamyślił się, zamyśliłem się i ja.

— Czy to był doktor medycyny? — zapytałem.

— Leczyć w przychodni, nie leczył — odrzekł listonosz. — Słyszałem jednak, że czasem, jak się do niego poszło, poradził, jakie lekarstwa zażywać. I radził wcale dobrze. Podobno akademię kończył i gdzieś był, w jakimś szpitalu, ale później już tam przestał pracować. Recept w każdym razie nie wypisywał. Ludzie szeptali od czasu do czasu, że pewnie go wyrzucili ze szpitala, może za narkotyki, znaczy się za to, że miał być narkomanem. Ja jednak nie wierzę. Setki razy go widywałem, a nigdy nic nie zauważyłem. Przeciwnie, bardzo uprzejmy. Czasem tylko alkohol od niego jechał, ale czy to coś nienormalnego, że się u nas od czasu do czasu wypije?

Zainteresował mnie ten samochód.

— Jaki to był wóz — zapytałem — i gdzie stał? Poznał pan markę?

— Jasne — odrzekł. — Nic specjalnego. Nasz fiat, do tego wcale nie nowy. Ale dobrze utrzymany — dodał po chwili. — Kolor kremowy. A stał... właściwie nie wiem, gdzie on stał. Czasem przed domem. W każdym razie nie w garażu, bo garaż pani Żuława wynajęła, chyba jakiemuś prywaciarzowi albo spółdzielni na magazyn.

Tyle się dowiedziałem wówczas, a kiedy sprawdziłem jeszcze garaż, wybudowany na tyłach posesji, okazało się, że listonosz miał rację. Rzeczywiście znajdował się tu magazyn, pełen metalowych części, śrubek, uszczelek i tym podobnych drobiazgów.

Na ślad fiata nie natrafiłem również 1 przed domem. W ogóle początkowo nigdzie, chociaż od razu wyszukano mi jego numery rejestracyjne. Zapisany był na nazwisko Zenona Ignatowicza, zamieszkałego w Warszawie.

To samo nazwisko znajdowało się w dowodzie osobistym. Odczytałem je również na dyplomie lekarskim, wydanym przez jedną z naszych akademii medycznych, na legitymacjach z przychodni oraz ze szpitala, w którym pracował Ignatowicz. Najbardziej zastanawiająca okazała się jednak legitymacja, znaleziona w portfelu.

Sam portfel wyjęty został z poplamionych krwią spodni denata. Krew nie przesiąkła przez skórę okładki i legitymacja, choć zniszczona, dawała się łatwo odcyfrować. Pieczętka na legitymacji głosiła: Zjednoczone Zespoły Filmowe. A niżej: Ob. Zenon Ignatowicz, asystent operatora.

Stanałem przed kolejną zagadką.

2

Zagadek miało być więcej. Początkowo podzieliłem je na kilka tematów. Teraz, gdy patrzę na sprawę z pewnej perspektywy, wydaje mi się, że poszczególne wątki stanowiły odrębne całości. Wtedy jednak bynajmniej nie odnosiłem takiego wrażenia. Wprost przeciwnie — mieszały się ludzie, wydarzenia i czas. Jed-

nego więc dnia przychodziło mi na przykład zajmować się ostatnimi godzinami życia zamordowanego, następnego — wypadkami rozgrywającymi się tak dawno, że prawie zostały zapomniane.

Obecnie zastanawiam się, jak powinienem je przedstawić. Czy tak, jak do mnie stopniowo napływały, a więc bez żadnej jeszcze wówczas logicznej konstrukcji, czy też w sposób uporządkowany, trzymając się chronologii wydarzeń, wynikającej z samego życiorysu zamordowanego?

Jeśli wybiorę metodę pierwszą, lepiej oddam atmosferę naszego działania, ale spowoduję pewien myślowy zamęt, niezrozumienie, a może nawet zagmatwanie samej akcji. W rezultacie spotkają mnie wyrzuty, iż przerzucam na kogoś innego pracę, jaką wykonać powinienem sam, przedstawiając w konkluzji gotowy już rezultat.

Jeśli posłużę się drugą, trudno będzie z kolei uniknąć posądzenia o łatwiznę, o to, że podaję przeżutą jak gdyby papkę. Więc i tak źle, i tak niedobrze, wobec czego wybieram metodę pośrednią. Zacząłem od relacji niejako bieżącej, lecz ona sama narzuca mi cofnięcie się w czasie. Nie będę więc na razie opisywał wszystkich kroków, jakie podejmowaliśmy dla odtworzenia ostatnich chwil życia denata, kręgu jego znajomych, trybu życia, przyzwyczajzeń. Nie będę, chociaż dla porządku powinienem powiedzieć, iż jego śmierć nastąpiła na dzień przed odkryciem zwłok: dokładnie we wtorek, w godzinach wieczornych. Listonosz znalazł Ignatowicza w czwartek rano. Powinienem też opisać parę przesłuchań sąsiadów; przesłuchań zmierzających do znalezienia ewentualnych świadków, notowania strzępów wiadomości, śladów, po jakich mieliśmy iść dalej.

Zamierzam natomiast skoncentrować się chwilowo na wątku, który sam dla siebie nazwałem wątkiem

LEKARZ

Pojechałem do Akademii Medycznej, której pieczętka widniała na dyplomie Ignatowicza, a która znajdowała się dość daleko od stolicy. Dotarłem do ocienionego drzewami gmachu dziekanatu wydziału lekarskiego.

Dziekan został już wcześniej uprzedzony o mojej wizycie i czekał w gabinecie. Podsunął mi kawę i kiedy — raz jeszcze — wyluszczyłem cel odwiedzin, otworzył szufladę, wyjmując z niej cienki skoroszyt.

— Zapewne czeka pan na moją osobistą relację o tym człowieku. Wiem jednak niewiele, ponieważ zajmuję swe stanowisko zaledwie od pięciu lat.

Widząc rozczarowanie na mojej twarzy, szybko dodał:

— Nic szkodzi, kazałem dostarczyć komplet akt. — Wskazał skoroszyt. — Tu mamy wszystko, czytamy więc.

Czytał właściwie on sam i przeczytał, że Zenon Ignatowicz uzyskał dyplom lekarski dwanaście lat temu. Był studentem miernym. Przeniósł się z Warszawy, gdzie powtarzał rok. Sądził widać, że tu mu pójdzie łatwiej. Ale łatwiej nie poszło. Urlop dziekański, egzamin- poprawkowy, znowu poprawka.

— A więc słaby? — spytałem. Dziekan potwierdził.

— Niestety. Teraz mamy wymagania wyższe niż kiedyś, więc pewnie by mu się nie udało zrobić dyplomu. Wtedy... No, cóż — zrobił nieokreślony gest ręką. — W każdym razie dyplom dostał.

Poprosiłem jeszcze o jakieś nazwiska studentów z tego samego roku, na którym studiował Ignatowicz. Liczyłem, że może w ten sposób dowiem się czegoś więcej.

Dziekan podał mi całą listę.

— Dwóch z nich pracuje w naszej klinice — powiedział. — Jeśli pan chciał z którymś porozmawiać...

Chciałem, chociaż nie powiedzieli mi niczego ważnego. Pierwszy uważał Ignatowicza za skończonego lenia, który tylko cudem przeszedł przez studia. Drugi był dla niego bardziej pobłażliwy, chociaż wygłosił na odmianę opinie, że Ignatowicz pomylił się po prostu z wyborem zawodu.

— Widzi pan — powiedział — to jest tak, gdy na medycynę wybiera się człowiek, który nie ma talentu i zamiłowania. Mało tego — lekarz to trochę jak ksiądz. Trzeba mieć powołanie, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Ignatowicz był tępy i chociaż naprawdę się uczył — wszyscy się z niego śmieli, że kuje przez całe noce i dni — nie wychodziło. -Tak bywa, że jednym przychodzi lekko, a drugiemu choćby wkładał w to stokroć więcej wysiłku, nie wiedzie się.

Mimo tych odmiennych opinii w jednym byli zgodni: Ignatowicz już na studiach lubił sobie popić. Może nawet nie w sposób rażący, ale jednak częściej niż kto inny. Widywano go też w dość dziwnych — jak to określali — towarzystwach. Od czasu do czasu krążyły różne plotki, ale ponieważ Ignatowicz nie mieszkał w domu akademickim, tylko wynajmował pokój sublokatorski — nie znajdowały dalszego pola do rozprzestrzeniania się i gasły, nie docierając wyżej.

Potem moi rozmówcy znów się poróżnili w ocenie źródeł takiego zachowania Ignatowicza. Pierwszy upatrywał je po prostu w nałogu czy też w początku nałogu, w jaki tamten popadł, i to jeszcze zanim się tu przeniósł z Warszawy. Drugi uważał, iż Ignatowicz pił, żeby złagodzić czy też zapomnieć o własnym kompleksie niższości. Może czuł się gorszy od bardziej zdolnych kolegów i — otaczając się Towarzystwem, które się w tym nie orientowało, a wprost przeciwnie, widziało w nim wielkiego „pana doktora” — znajdował samozadowolenie ?

Nie umiałem wtedy znaleźć odpowiedzi na żadne z pytań. Zapytałem jedynie o dalsze losy Ignatowicza. Odrzekli, że zdaje się pracował w jakimś małym mieście — wymienili nazwę — a potem chyba udało mu się zacząć gdzieś w szpitalu.

*

Miasto leżało nad rzeką. Przepływała obok, a główna zabudowa koncentrowała się tylko na jednym, wysokim brzegu. Drugi, płaski, był najwyraźniej podmokły. Pasły się tam krowy.

Sama miejscowość była nieciekawa. Zabudowana parterowymi lub co najwyżej jednopiętrowymi domkami, miała wprawdzie coś w rodzaju centrum, ale i ono ograniczało się w istocie rzeczy do prostokątnego rynku. Skupiała się tu większość sklepów, restauracja oraz niedawno wybudowany spółdzielczy dom towarowy.

Przeszedłem obok tego domu, wchodząc w ulicę, wskazaną mi wcześniej. Wznosiła się nieznacznie w górę, z przerwą między domami, w której stał budynek nieco cofnięty i odgradzony od chodnika niewielkim placikiem. Już z daleka dojrzałem czerwone, urzędowe tablice, a kiedy podszedłem bliżej, upewniłem się, że trafiłem właściwie.

Dyrektor miejscowego Zespołu Opieki Zdrowotnej był łysiejącym szatynem w białym lekarskim kitlu i w okularach, zza których rzucił mi pytające spojrzenie. Przedstawiłem się i wówczas na jego twarzy błysnął wyraz zrozumienia. Jak przedtem dziekan, również i on spodziewał się przecież mojej wizyty, o której przedziłem go telefonicznie.

Jedną ręką wskazał fotel, drugą ujął słuchawkę. Wykręcił jakiś numer, a kiedy ktoś się odezwał, powiedział:

— Doktor Wardas? Ten pan z milicji już przyjechał... Tak, jest u mnie, w gabinecie, czekamy...

Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się z kolei w moją stronę.

— Pozwoliłem sobie poprosić doktora Wardasa jako lekarza, który pracuje u nas najdłużej. Zresztą pochodzi stąd i zna dosłownie wszystkich, więc myślę, że będzie najodpowiedniejszą osobą, żeby udzielić panu informacji.

Mówił pospiesznie i odnosiłem wrażenie, że chyba wołał, aby rozmowa nie odbywała się w cztery oczy.

— Doktor Wardas pełnił funkcję kierownika przychodni, w której pracował Ignatowicz — ciągnął — więc także z tego tytułu...

Poczęstował mnie papierosem i przez chwilę panowało milczenie. Przerwało je wejście niewysokiego, trochę otyłego -starszego pana, o całkiem łysej głowie, rumianych policzkach, pogodnym spojrzeniu i szybkich, drobnych, trochę drepczących kroczkach. Był to właśnie doktor Wardas. W przeciwieństwie do dyrektora zespołu nie nosił białego fartucha, tylko szary garnitur.

Przysunął fotel blisko mnie i trochę konfidencjonalnie zapytał:

— Pan w sprawie doktora Ignatowicza? Czy... — przerwał, jakby nieco zmieszany własną ciekawością, niemniej dokończył — czy... coś się stało?

— Doktor Ignatowicz nie żyje — powiedziałem krótko. — Został zamordowany i właśnie badamy okoliczności jego śmierci.

Zarówno dyrektor, jak i doktor Wardas byli zaskoczeni. Od śmierci Ignatowicza nie minęło wszak wiele czasu, wiadomość się nie rozniosła, a ja sam również nic wcześniej nie mówiłem. Zapowiedziałem jedynie przyjazd po informacje o Ignatowiczu.

Dałem im trochę czasu, aby się oswoili z nowiną, a potem zapytałem:

— Pracował tutaj, prawda?

— Pięć lat — odpowiedział szybko dyrektor. Wyjął jakąś kartkę. — Interesują pana dokładne daty?

Potwierdziłem. Podał mi je.

— Jaką funkcję pełnił?

— Różne. Początkowo prowadził wiejski ośrodek zdrowia. Na wsi stale brak lekarzy, więc jak ktoś się godzi na taką pracę, przyjmujemy go z otwartymi ramionami.

— A później?

Dyrektor chrząknął. Wydawało się, że zwleka z odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

— Później zrobił u nas specjalizację pierwszego stopnia z ginekologii i przez krótki czas był zatrudniony w szpitalu. Następnie przeszedł do poradni „K” i równocześnie otworzył praktykę prywatną. O ile się nie mylę, doktorze — zwrócił się do Wardasa — tak właśnie było?

Sprawił wrażenie zadowolonego z tego, że skończył, a jego wzrok najwyraźniej zachęcał Wardasa do przejęcia pałeczki.

Wardas wyciągnął z kieszeni ciemną fajeczkę, w skupieniu nabił ją tytoniem, zapalił i dopiero wtedy powiedział:

— Zgadza się. Pracował u mnie w przychodni. Aż do końca, to znaczy — do chwili wyjazdu stąd.

— A... — zawahałem się — dlaczego wyjechał?

— Dostał propozycję pracy w szpitalu w Warszawie. Miał jakichś znajomych, podobno ktoś mu pomógł — powiedział pośpiesznie dyrektor.

— Zlikwidował swoje sprawy tutaj — uzupełnił Wardas — i przeniósł się. Od tej pory dochodziły o nim już jedynie tylko słuchy. O ile dobrze pamiętam, nie były to jednak jakieś rewelacyjne wieści. Z pewnością w Warszawie poznano się na nim szybciej niż my tutaj.

Szybko podchwyciłem ostatnie stwierdzenie.

— Więc był nie nadzwyczajnym pracownikiem?

Dyrektor zamyślił się.

— Chyba trudno by to tak określić... Starał się. Był bardzo pracowity, przynajmniej w pierwszym okresie. Cóż, kiedy szło mu wszystko jak po grudzie. Nawet specjalizację zrobił z dużym trudem. A co pan myśli, doktorze?

Doktor Wardas pyknął ze swej fajeczki.

— Był lekarzem dość miernym — powiedział wreszcie. — Pacjentki, przynajmniej w poradni, nie miały do niego specjalnego zaufania i — prawdę mówiąc — zadowolony byłem, że wyjechał. Tym bardziej że dochodziły różne plotki...

— Dotyczące jego trybu życia? — spytałem. — Wódka?

Doktor pokiwał głową.

— Właśnie. Początkowo chyba się z tym krył. Zresztą miał sytuację o tyle ułatwioną, że mieszkał na wsi, a tam się patrzy na takie rzeczy przez palce. Chłopa, który sam pije, nie razi, że czasami wypije sobie i pan doktor. W każdym razie w momencie, gdy robił specjalizację, nie był to fakt powszechnie znany. Dopiero później... No, ale później też go niejednen tłumaczył. Mówiono: „W jego sytuacji... Cóż dziwnego, że trochę wypije...”

— Dlaczego: „W jego sytuacji?”

— Ach, tak — rzekł dyrektor — pan przecież nic nie wie... Najpierw umarło mu dziecko — zaraz po urodzeniu, a potem żona go rzuciła. O ile pamiętam, mówiono wtedy, że dla jakiegoś zamożnego faceta z Warszawy, zdaje się właściciela warsztatu samochodowego czy wytwórni krawatów. Albo nawet sklepu. Nie wiem dokładnie, choć przez dobre parę miesięcy o tym plotkowano. Byli nawet tacy, którzy ją widzieli w jakimś superwozie w Warszawie.

— Ja bym nie żałował — odezwał się Wardas. — Zaręczam panu, że nie było czego.

— Ech — zachnął się dyrektor. — Niech pan tak nie mówi. Pamięta pan, pół miasta za nią szalało.

— Dla mnie za wulgarna — stwierdził doktor. — Coś w niej było takiego... jak by tu powiedzieć... nie obrażając, ale jak z prostytutki. Ten wygląd, zachowanie absolutnie nic pasujące do żony lekarza, raczej do osoby z marginesu społecznego. Poza tym straszna zachłanność na pieniądze. W gruncie rzeczy żałowałem Ignatowicza właśnie z tego powodu. Musiał mieć z nią prawdziwy krzyż pański. Tymczasem chłop zamiast się cieszyć, że go rzuciła, pił z rozpacz.

— Prawdę mówiąc — uzupełnił dyrektor — Zoja, bo tak miała na imię, raczej nie pasowała do Ignatowicza. Uważano zresztą, że poleciała głównie na jego możliwości finansowe. Później jednak nawet i to jej, jak się okazało, nie wystarczyło.

— A czy zarabiał wówczas dużo? — zapytałem.

— U nas nie za wiele. Jak lekarz w uspołecznionej służbie zdrowia. Przeciętnie. Miał jednak prywatną praktykę, no, a sam pan rozumie, ginekolog...

Dyrektor nie dokończył i wcale nie potrzebował. Zdawałem sobie przecież dobrze sprawę z tego, jak duży może być dochód lekarza ginekologa w miasteczku, w którym praktykuje on sam albo najwyżej jeszcze jeden specjalista.

— W krótkim czasie kupił sobie samochód i połowę domku. No, ale później...

Znów nie dokończył, tym-razem jednak zapytałem:

— Co później?

— Rozpił się! — powiedział krótko dyrektor. — Zawsze musiał mieć jakąś skłonność do alkoholu. Mówię prawdę, chociaż wstyd mi za kolegę, bądź co bądź lekarza. Ludzie w mieście zaczęli plotkować, a on sam stracił część pacjentek.

— Kiedy przyszedł po raz pierwszy do pracy w stanie nietrzeźwym — odezwał się doktor — wezwałem go do siebie na rozmowę. Usiłowałem przemówić do rozsądku. Obiecywał poprawę, ale pogłoski nie ustawały. Ktoś odprowadził go pijanego do domu, ktoś inny widział w restauracji w towarzystwie ludzi o nie najlepszej opinii. Narastała wokół niego coraz gorsza atmosfera. Wezwałem go powtórnie i postawiłem warunek: albo się zmieni, albo poszuka nowej pracy. Powiedział, że już sobie coś załatwia. Wkrótce złożył wymówienie. Dowiedziałem się, że udało mu się dostać do Warszawy. W duchu podejrzewałem, że zależało mu na stolicy, ponieważ tam właśnie mieszkała jego była żona. Nic jednak nie odpowiedziałem. Życzyłem jedynie szczęścia. Spytał, jaką mu wystawimy opinię. Uspokoilem go, że dobrą. I taką mu daliśmy.

— Nikt nic nie wspominał o tym, że pił? — zdziwiłem się.

— Nie — odrzekł doktor, nieco zakłopotany. — Po co szkodzić człowiekowi na początek? Zresztą uważaliśmy wtedy, że to jedynie przejściowe załamanie i minie z chwilą wyjazdu stąd.

Pokręciłem głową, chociaż rozumiałem. Zawsze jakoś szkoda człowieka, zwłaszcza młodego, przed którym świat i kariera stoją otworem. Tylko że tym razem sytuacja bynajmniej nie była prosta. Chodziło bowiem o lekarza, a zatem również i o tych, którzy oddadzą się w jego ręce. . — Wkrótce potem rzeczywiście wyjechał — zakończył doktor. — Przed wyjazdem sprzedał domek. Zabrał ze sobą jedynie samochód. Jak się urządził w Warszawie, nie wiem. Początkowo pracował w szpitalu... — tu wymienił nazwę — jednak zdaje mi się, że nic byli z niego specjalnie zadowoleni. Później ktoś ze znajomych wspominał, że już go w szpitalu nie ma, ale dlaczego odszedł — i dokąd — nie wiedział. Jeszcze potem doszły nas wieści, że jakoby skierowano go na leczenie odwykowe do zakładu... To byłoby w zasadzie wszystko. Więcej już o nim nie słyszeliśmy. Dopiero pan...

Wróciłem do Warszawy. Szpital, w którym niegdyś pracował Ignatowicz, znajdował się w remoncie, natomiast lekarze rozpiechli się po innych placówkach leczniczych. Do ordynatora oddziału dotarłem więc dopiero po jakimś czasie i z pewnym też trudem. Zostałem go zresztą dosłownie w ostatnim momencie, ponieważ szykował się do wyjazdu za granicę. W którymś z afrykańskich krajów, bodaj w Algierii czy Tunezji, objąć miał na trzy lata kierownictwo jednego z tamtejszych szpitali.

Powiedział mi o tym jakby mimochodem, na marginesie pytań, jakie mu zadałem.

Spotkaliśmy się w jego mieszkaniu, w gabinecie, w którym już stały zapakowane walizki i panował nieład, dziwnie kontrastujący z moimi wyobrażeniami o takich pomieszczeniach.

Docent Domianiak, bo tak brzmiało jego nazwisko, zajął jedno z dwóch wolnych krzeseł z wysokim oparciem. Ponieważ był dość niski, nieomal zniknął za biurkiem. Ja przysiadłem skromnie na krześle, stojącym z boku. Sytuacja przypominała nieco wizytę pacjenta u lekarza i uległa pewnej odmianie dopiero z chwilą, gdy żona docenta wniosła kawę i kruche ciastka.

Słuchałem opowiadania docenta o Afryce i przez moment czułem się tak, jak gdyby to była nie służbowa, lecz towarzyska jedynie wizyta.

Kiedy jednak zapytałem o Ignatowicza i jego pracę na oddziale, nastrój się zmienił.

Docent nachmurzył się, mimowolnie uderzył ręką kilka razy w blat biurka.

— Przykro wspominać — rzekł — tym bardziej że nikt inny tylko właśnie ja byłem tą osobą, za której pośrednictwem dostał się do naszego szpitala. — Nie dał mi się wtrącić i, jakby się usprawiedliwiając, kontynuował. — Nie ma tu oczywiście mowy o żadnej protekcji. Po prostu zadzwonił do mnie znajomy, wówczas zastępca kierownika wydziału zdrowia w naszej dzielnicy i spytał, czy czasem nie potrzebujemy lekarza ginekologa z pierwszym stopniem specjalizacji. Dobrze wiedział, że poszukujemy kandydata, ponieważ jeden z naszych pracowników przeszedł gdzie indziej i mieliśmy wakat. Zapytałem, kto to wówczas opowiedział mi w skrócie o Ignatowiczu, że lekarz z małego miasta i że chce zmienić miejsce pracy ze względu na sprawy rodzinne. Ma meldunek warszawski, gdyż kiedyś mieszkał i studiował w Warszawie, a wyjeżdżając wymeldował się jedynie okresowo. Zatrzyma się na razie u rodziny, następnie kupi lokum w własnościowej.

Poprosiłem, żeby go do mnie przysłał. Ignatowicz przyszedł : — muszę przyznać — wywarł na mnie wcale korzystne wrażenie. Miał zresztą dobrą opinię z pracy, a kiedy później zadzwoniłem jeszcze do przychodni, w której był kiedyś zatrudniony — potwierdzono mi ją.

Zdecydowałem się go przyjąć. W okresie próbnym spisywał się dość dobrze, chociaż zauważyłem pewną nieporadność przy stole operacyjnym — jak pan wie, nasz oddział jest głównie oddziałem zabiegowym i operuje się u nas bardzo dużo. Poza tym od czasu do czasu miewał kłopoty z diagnozą. Kładłem to jednak na karb małego doświadczenia w pracy w szpitalu, no i — co tu dużo mówić — zapewne niższego poziomu leczenia w mieście, skąd przyjechał. Jednakże czas mijał, a kłopoty — nie. Na oddziale zaczęło się o nim mówić. Raz czy drugi wytknąłem mu błędy na co tygodniowych naradach. Gdybym wówczas wiedział... Gdyby mi ktoś wspomniał... — westchnął. .

Milczałem, pragnąc, by mówił dalej. I rzeczywiście po chwili podjął.

— Pan zna to przysłowie, że zdradzany mąż dowiaduje się o wszystkim ostatni? — Uśmiechnął się blade. — Otóż ja, ordynator oddziału, też się dowiedziałem ostatni. Właściwie dopiero na sali sądowej. No, nie — poprawił się — wcześniej, wtedy, gdy sprawą zainteresowała się prokuratura i kiedy zaczęto robić dochodzenia na oddziale. Wtedy dopiero okazało się, że wiele osób orientowało się już dawno, ale nie mówiło. Z litości, ze współczucia albo dlatego, że się podobał, że był miły. Pielęgniarki przynosiły mu kawę, dawały cukierki miętowe, żeby się nie poznało. Żebym się nie dowiedział, że pan doktor Ignatowicz raz, dwa, a może dziesięć razy przychodził do szpitala na kacu albo wręcz po wypiciu alkoholu...

Znów przerwał. Upił łyk kawy i poprawił się na krześle.

— Tej nocy nie było mnie na oddziale Nic było mnie w ogóle w Warszawie. Wyjechałem" do Krakowa na sympozjum naukowe, zostawiając oddział swojemu zastępcy, do którego miałem pełne zaufanie

Na nieszczęście oddział pełnił ostry dyżur, i to zarówno ginekologia, jak i porodówki. Był to dyżur podobno — jak go jeszcze się wspomina do tej pory — jeden z najgorszych. Chore zwożono nam jedną za drugą. Wśród pacjentek znajdowała się kobieta o nazwisku Małysz. Wanda Małysz. lat 35. Chyba już do końca życia nie zapomnę tego nazwiska.

Zmienił pozycję. Krzesło zatrzeszczało.

— Przywiózł ją mąż, około drugiej w nocy. Później został, czekał aż do rana chodził zdenerwowany pod szpitalem. Pielęgniarki, które kończyły dyżur, widziały go. Około szóstej zjawił się jeszcze raz w Izbie przyjęć, pytając o stan żony. Lekarz dyżurny połączył się z salą porodową, gdzie mu powiedziano, że wszystko przebiega normalnie. Poród jest w toku, a pan Małysz nie powinien się niepokoić, tylko iść się trochę przespać. Żona podała zresztą numer telefonu do jego pracy i zostanie zawiadomiony, gdy dziecko się urodzi. Czy pan wie — zmienił trochę temat — co to znaczy ostry dyżur? Jeśli jest ciężki i operuje się bez przerwy, bez przerwy też przyjmuje porody, rano człowiek jest zupełnie wypompowany. Pije się wtedy hektolitry kawy i tylko patrzy na zegarek, kiedy koniec dyżuru. O piętnastej wszyscy wychodzą, śmiertelnie zmęczeni. Przychodzi dwóch nowych lekarzy — jeden na oddział, a drugi na salę porodową. Tym drugim był wtedy Ignatowicz.

Na porodówce rodziło wówczas kilka kobiet i wszystkie porody przebiegały normalnie. Tak przynajmniej zeznawały później położne, którym wydawało się, że było tak i u Wandy Małysz. A przecież fakt, że miała 35 lat i rodziła po raz pierwszy, powinien skłonić — zarówno położne, jak i lekarza — do szczególnie bacznej obserwacji. W tych okolicznościach powikłania bywają bowiem częstsze niż u innych rodzących.

Tymczasem poród przedłużał się. Minęło dwanaście godzin, później dalszych sześć — i nic. Nadeszła następna noc, a Wanda Małysz wciąż znajdowała się w sali porodowej. Zaniepokojona położna wezwała Ignatowicza. Ten zbadał pacjentkę i stwierdził, że nie ma żadnych podstaw do obaw i że poród przebiega normalnie. Nie będę pana nużył opisywaniem dalszych szczegółów. Zresztą są znane — wystarczy zajrzeć do akt, gdzie znajduje się drobiazgowo sprawozdanie. W każdym razie diagnoza była błędna. Pacjentkę należało, i to jak najszybciej, poddać zabiegowi cesarskiego cięcia. Ignatowicz zdecydował natomiast, by poród kontynuować tak zwanymi siłami natury. No i — w konsekwencji — nastąpiło to, co nastąpiło, czyli pęknięcie macicy. Na dodatek tragedia zdarzyła się wówczas, gdy na sali była jedynie położna. Zanim znalazła Ignatowicza i zanim wreszcie chorą zoperowano — pan sobie wyobraża, co to znaczy ściągnięcie zespołu operacyjnego po ostrym dyżurze? — było już za późno. Ani matki, ani dziecka nic dało się uratować.

— Błąd w sztuce? — zapytałem. Docent westchnął.

—Żeby tylko! Mąż zmarłej, nazywał się Adam Małysz — widzi pan, nazwisko i imię też doskonale pamiętam — zawiadomił prokuratora i ten rozpoczął śledztwo. Wówczas wyszły na jaw okoliczności, o jakich już wspominałem, a mianowicie alkohol. Pojawił się zarzut, że i krytycznej nocy Ignatowicz również był pijany. Znaleźli się świadkowie, którzy czuli od niego wódkę i którym usta otworzyły się dopiero wtedy, gdy w sprawę wkroczyła prokuratura. Przed sądem, bo doszło do procesu, tego co prawda nie udowodniono, jednakże podejrzenie pozostało. W rezultacie Ignatowicz dostał dwa lata z zawieszeniem — za popełnienie tak zwanych rażących zaniedbań, które doprowadziły do śmierci dziecka oraz pacjentki. Zaraz potem nasza komisja kontroli zawodowej pozbawiła go prawa wykonywania zawodu na okres pięciu lat. Oczywiście ze szpitala Ignatowicz został zwolniony ze skutkiem natychmiastowym i z odpowiednią opinią. Wątpię więc, żeby — nawet po upływie tych pięciu lat — mógł znaleźć pracę zwłaszcza w Warszawie. Zresztą nigdy już o nim nie słyszałem od tamtej pory...

Zanim rozstałem się z docentem, zapisałem sobie jeszcze nazwisko prokuratora, który prowadził śledztwo.

*

Zastałem go dopiero po kilku telefonach i wreszcie udało się nam ustalić termin spotkania.

Przyszedłem do niego do prokuratury, ponieważ zależało mi na tym, ażeby od razu, na miejscu, przejrzeć również akta. Jak trafnie przewidywałem, były już wyjęte, czekały na mnie. Czekał również prokurator, młody człowiek, chyba niewiele po trzydziestce, ubrany w dżinsy i szarą, obcisłą koszulę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i niemal natychmiast prokurator podał mi akta.

Było ich stosunkowo niewiele. Uporałem się z nimi szybko, nie znajdując właściwie nic ponad to, co już wiedziałem od docenta. Zanotowałem sobie jedynie adres Adama Małysza. Zwróciłem również uwagę na styl pism, wysyłanych przez Małysza zarówno przed, jak i po procesie Ignatowicza. Lekarzy ze szpitala, w którym zmarła jego żona, a w szczególności Ignatowicza, nazywał mordercami, domagał się surowej kary. W sytuacji, gdy stracił najbliższych, można było go zrozumieć i usprawiedliwić. Zrobiłbym to, gdyby nie kolejne pismo, adresowane do prokuratora już po wyroku sądowym, a zawierające oskarżenia i inwektywy pod adresem całego wymiaru sprawiedliwości. Z niego W przepisałem niektóre sformułowania, a zwłaszcza jedno: „Tacy ludzie jak morderca Ignatowicz w ogóle nie powinni chodzić po świecie”. Dalej była mowa o tym, że Ignatowicza, tak czy inaczej, sprawiedliwość na pewno jakoś osiągnie.

Zauważyłem, że prokurator mnie obserwuje i uśmiechnąłem się do niego. Zrozumiał to jako zachętę do rozmowy i odezwał się pierwszy:

— Już pan kończy?

Kiwnąłem głową i zamknąłem akta.

— Czy mógłby mi pan coś więcej powiedzieć o tym Małyszu? — zapytałem. — Jaki to człowiek?

— Bardzo nieszczęśliwy — odrzekł prokurator. — Przeżył ogromną tragedię. Widzi pan, byli małżeństwem od dziesięciu lat i tyleż czekali na dziecko. No, a kiedy przyszło na świat... Po wyroku pierwszej instancji założyłem rewizję na niekorzyść Ignatowicza. Podkreśliłem związek pomiędzy piciem wódki przez oskarżonego a tragedią, jaka nastąpiła. Jednakże dowodów bezpośrednich brakowało. Nikt przecież mu wtedy krwi nie badał, a opinie świadków były materiałem dla sądu zbyt wątkim. Sąd drugiej instancji utrzymał wyrok w mocy. Sprawa została zamknięta. Jednakże nie dla Małysza. Przez cały czas domagał się sprawiedliwego, przykładowego ukarania Ignatowicza, a kiedy usłyszał o wyroku z zawieszeniem, uznał, że właściwie kary w ogóle nie było. Od tej pory stracił zaufanie do wszystkich. Także i do mnie. Zaczął wszę-

dzie pisać, oskarżać — mnie osobiście, całą prokuraturę, sąd. Wezwałem go wówczas i uświadomiłem konsekwencje, jakie mogą mu grozić. Odpowiedział, że skoro tak sprawa wygląda, to on już sobie sam, na własną rękę poszuka sprawiedliwości. Jeszcze raz usiłowałem mu przemówić do rozsądku, jednakże nic do niego nie docierało. Wiedział tylko jedno — został straszliwie skrzywdzony, stracił żonę i dziecko, i powinien się zemścić. Przypisywałem wówczas te słowa jego nie najlepszemu, jak widziałem, stanowi psychicznemu, poradziłem wizytę u lekarza, wyjazd, odpoczynek, oderwanie się od codziennego otoczenia. Od tej pory więcej o nim nie słyszałem. Ponieważ urwały się również i jego skargi, uważałem, że wreszcie pogodził się z losem.

— Czy to był człowiek zdolny do wzięcia odwetu, i to po kilku latach? — spytałem, sam się nad tym zastanawiając.

— Na tyle go nie poznałem. No cóż, możliwość taka teoretycznie istnieje i chyba trzeba by ją brać w rachubę.

Znał już szczegóły śmierci Ignatowicza, a i mnie nie potrzebował wyjaśniać, o co mu chodzi.

— Czy pan wie, że sprawa miała swój ciąg dalszy?

Skąd miałem o tym wiedzieć? Do tej pory nikt mi przecież nic nie wspominał.

— A tak — rzekł-prokurator, zadowolony widać, że teraz on ma mi coś do sprzedania. — Otóż tego dnia, w którym ogłoszony został wyrok pierwszej instancji, Ignatowicz, jak to się potocznie mówi, „poszedł w kurs”. Pił po różnych restauracjach, pił rozpaczliwie i — jak później twierdzili świadkowie — bez umiaru. Na koniec wsiadł w taksówkę i kazał się wieźć do pewnej willi na Mokotowie. Kiedy taksówkarz odjechał, Ignatowicz najpierw zaczął ciskać w okna willi kamieniami, a następnie, gdy wyszedł właściciel, rzucił się na niego... W rezultacie odtransportowano go do izby wytrzeźwień, później do aresztu. Tym razem dostał pół roku więzienia za chuligańską napaść po pijanemu.

Zdziwiłem się.

— Po cóż on jeździł na Mokotów? Teraz "zdziwił się na odmianę prokurator.

— Jak to? — zapytał. — Pan nie wie, że w tej willi mieszka obecnie jego była żona?

3

Wydaje mi się, że na temat wątku, który w skrócie nazwałem „Lekarz”, napisałem już dostatecznie dużo, by móc przejść do następnego. Zatytułowałem go tym razem

FOTOGRAFIE

choć wcale nie od nich się przecież zaczął. Fotografie pojawiły się dopiero później, niemniej one właśnie, przynajmniej moim zdaniem, grały w nim chyba podstawową rolę.

Zacząło się od wizyty w willi na Mokotowie. Nauka zwana wiktymologią powiada, że między przestępcą a ofiarą zachodzą przeważnie określone związki. Droga do wykrycia mordercy prowadzi więc niejednokrotnie przez poznanie zamordowanego.

Taką tezę przyjąłem L tutaj, dlatego właśnie pojawiłem się pewnego wieczoru na Mokotowie. Wybrałem dzień brzydkiego, deszczowego, licząc, iż zastanę w domu mieszkańców willi.

Nie pomyliłem się. Był czwartek, w telewizji wyświetlano jakiś atrakcyjny film kryminalny i w jednym z okien ujrzałem charakterystyczny, niebieskawy poblask!

Na powitanie zeszła gosposia, młoda dziewczyna o długich włosach i dużym biuście, opiętym trochę przyciasnym swetrem. Spojrzała na mnie z ciekawością, a kiedy powiedziałem, o kogo chodzi, wyszła, ociągając się. Za chwilę usłyszałem płacz małego dziecka i jakiś ostry, kobiecy głos.

Kobieta, która pojawiła się w pokoju, była rzeczywiście piękna, choć — przypomniałem sobie opinię doktora Wardasa — można ją było uważać za nieco wulgarną. Wrażenie takie sprawiał nie tylko sam wyraz twarzy, ale także i sposób poruszania się. Przez moment wyobraziłem ją sobie w miasteczku, w którym niegdyś mieszkała, — oraz furorę, a jednocześnie i zgorzienie, jakie musiała tam wywoływać.

Kiedy się zbliżyła, omal nie gwizdnąłem z podziwu. Miała piękne blond włosy, długie, proste, rozpuszczone, jasną cerę, pełne usta i fenomenalną figurę. Wszystko w niej było na swoim miejscu i takie, jak trzeba. Wyjaśniłem, po co przychodzę.

— Proszę usiąść — powiedziała i sama osunęła się na fotel, zakładając nogę na nogę.

— Papierosa? — zapytała. Poczęstowała mnie Marlboro, które palę rzadko, także i ze względu na cenę.

— Więc co pan chce wiedzieć?

Nie sprawiała wrażenia ani speszzonej, ani zakłopotanej. Traktowała mnie z całą swobodą i naturalnością.

— Dlaczego pani odeszła od Ignatowicza?

— Och! — zachnęła się. — Czy to takie istotne? Przyczyny osobiste. Po prostu wzajemne niedopasowanie. Tak w każdym razie brzmiało orzeczenie rozwodowe. ,

Więcej nie chciała mówić, a ja nawet nie miałem prawa wypytywać. W końcu były to rzeczywiście kwestie osobiste, nie mające bezpośredniego związku ze sprawą.

— Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

Wydeła usta. Wyglądało na to, że usiłuje sobie przypomnieć. Po chwili odpowiedziała :

— Chyba ze dwa, trzy lata temu. W sądzie, podczas rozprawy. Byłam wtedy świadkiem. Chodziło o mojego obecnego męża. Ignatowicz rozbił nam w nocy okna kamieniami, a później rzucił się "na Mariusza.

Oczywiście był kompletnie pijany — dodała z odcieniem pogardy i pewnej wyższości w głosie. — Zawsze, kiedy się upił, tracił głowę.

— Pani obserwowała to zajście?

— Naturalnie. Nie tylko obserwowałam, sama również wybiegłam w ślad za mężem. A co by pan innego zrobił, jakby pan usłyszał, że ktoś rozbija panu szyby?...

Strząsnęła nerwowo popiół z papierosa.

— Zresztą na mnie toż się rzucił z pięściami. Dobrze, że mój mąż nie zalicza się do słabeuszy, wprost przeciwnie. Inaczej nie dałby sobie z nim rady.

— Gdzie mąż pracuje? — zapytałem.

— Ma warsztat samochodowy.

— Czy pani domyśla się powodu napaści?

— Oczywiście! Z nienawiści! Zawsze mnie uważał za winną wszystkich swoich niepowodzeń. Zwłaszcza odkąd od niego odeszłam i nie mógł już być więcej górą. Nie mógł mi dawać — stale, codziennie — do zrozumienia, jaką to zrobił mi łaskę, że się ze mną ożenił, i o ile mnie we wszystkim przewyższa. ?— ? Mówiąc, sama się podniecała, jej głos znów nabrał owych wysokich, ostrych tonów, jakie przed chwilą słyszałem. — Byłam kelnerką — wyjaśniła. — Zaimponował mi. Wielki pan doktor... Tylko że potem czar prysnął. Zobaczyłam, ile jest wart.

Nie miałem nawet czasu zastanowić się, czy rzeczywiście mówiła prawdę, czy też jedynie w ten akurat sposób usprawiedliwiała swoją decyzję odejścia od Ignatowicza. Nie zdążyłem, gdyż drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna o wyglądzie podstarzałego playboya. Miał ma sobie cienki, jasnobezowy garnitur, chyba z szantungu, z bluzą wojskowego kroju zamiast marynarki. Pod szyją nosił apaszkę. Opalona twarz zdradzała, że spędza dużo czasu na powietrzu. Z sylwetki sprawiał wrażenie młodzieńca, postarzały go jednak worki pod oczami i bruzdy wokół ust. Musiał mieć co najmniej 45—50 lat.

Domyśliłem się w nim męża mojej rozmówczyni i był nim w istocie. Na powitanie cmoknął Zoję nie dbale w policzek, rzucając mi przy tym pytające spojrzenie. Miał oczy jasnoniebieskie, ładnie kontrastujące z opalenizną.

Przedstawiłem się. Chciał zostawić nas samych, jednakże szybko go powstrzymałem.

— Chodzi o Ignatowicza — wyjaśniłem — czy znalazł go pan bliżej?

— Bardzo słabo — odrzekł. — Nie miałem chyba szczególnych powodów, by podtrzymywać znajomość z tym panem. — Ostatnie słowa zaakcentował, w widocznym zamiarze zaznaczenia dystansu dzielącego go od niefortunnego męża pięknej Zoi.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni? — Celowo zadałem mu, jak poprzednio Zoi, identycznie brzmiące pytanie i otrzymałem też identyczną odpowiedź.

— Później już nie?

Zauważyłem jakby krótką wymianę spojrzeń. Potem odezwała się Zoja.

— Jeśli to można nazwać spotkaniem... Podchwyciłem.

— Kiedy?

— Nie pamiętam. Bodaj kilka miesięcy temu. Ot, takie przelotne spotkanie. Prawie o nim zapomniałam.

— W jakich okolicznościach...?

— W hotelu „Europejskim”. Byliśmy tam z całym towarzystwem...

Mówiła niechętnie, ociągając się, a ani ja, ani mąż nie zrobiliśmy żadnego wysiłku, aby jej pomóc.

— On był tam również?

— Mhm.

— Sam?

— Nie, też w towarzystwie. Mężczyzna i dwie kobiety. Jedna starsza, druga młodsza. Oczywiście, jak to on często, był pod gazem. Bałam się nawet, że znów sprowokuje jakąś awanturę. Na szczęście jednak udał, że mnie nie widzi.

— Co może pani powiedzieć o jego znajomych?

Zastanowiła się.

— Właściwie nic. Po prostu ich nie pamiętam. Ach, nic! — przyszło jej naraz cpś na myśl. — Mężczyzna trochę kulał. Kobieta, ta starsza, bardzo głośno się śmiała. Pokazywali sobie jakieś zdjęcia.

Zdjęcia... W tym momencie zabłysła w mej głowie jakby ostrzegawcza lampka. Przypomniałem sobie łazienkę, przerobioną na ciemnię, oraz fotografie, znalezione w pokoju Ignatowicza.

Postanowiłem przejrzeć je jeszcze raz.

*

Zanim to jednak nastąpiło, pojechałem do zakładu karnego w S., w którym Ignatowicz odsiadywał swój półroczny wyrok.

S. było miastem, przechodzącym różne dziejowe koleje losu, siedzibą guberni, później powiatu, narzeczcie doczekało się województwa. Tradycyjnie związane z kolejnictwem, miało duży biały dworzec, od którego szły ulice w kierunku centrum.

Zakład karny znajdował się w pobliżu i przez, okna dochodziły odgłosy przetaczanych pociągów, gwizdy lokomotyw oraz zapach dymu. Naczelnik zakładu zajmował surowe, skąpo umeblowane pomieszczenie. Czekając chwilę na niego, wyjrzałem przez okno. W dole zobaczyłem typową ulicę miasta, którą dopiero zamierza być duże. Po jezdni więcej poruszało się ciężarówek niż samochodów osobowych.

Naczelnik przyszedł w stalowoszarym, służbowym mundurze. Miał bladą twarz, ciemne oczy i niewielki wąsik nad górną wargą. Mówił ze śpiewnym, kresowym akcentem.

Przeprosił mnie, że musiałem czekać, następnie zbliżył się do żelaznej szafy, skąd wyjął akta.

Które to już akta? — pomyślałem, przypominając sobie równocześnie pęczniejącą teczkę w aktualnie prowadzonej sprawie.

Ignatowicz karę odbył w całości. W więzieniu sprawował się nienagannie. Kar dyscyplinarnych żadnych nie orzeczono. Samouszkodzeń nie dokonywał. Aktów agresji nie zanotowano. Pracował w szpitalu więziennym jako pielęgniarz. Opuścił zakład karny dnia... Naczelnik wymienił datę.

— Więc na owej dacie — pomyślałem — kończy się moja obecna wiedza o tym człowieku i o jego przeszłości. Pomiedzy nią a dniem, w którym go zamordowano, pozostawała luka. Moim zadaniem było ją wypełnić.

— Z kim siedział w ciii? — zapytałem w nadziei, że może akurat w ten sposób trafię na dalszy ślad.

Naczelnik wymienił parę nazwisk, znów sięgnął do szafy.

— Jeżeli was interesuje... — zaczął i, nie czekając na potwierdzenie lub zaprzeczenie, otworzył pierwszą z teczek.

Zapisywałem dane personalne, gdy nagle coś mnie zelektryzowało.

— Jak? — Musiałem się upewnić.

— Pseudo „Kulawy” albo „Kulas” — powtórzył naczelnik, podnosząc oczy znad rozłożonych papierów. — Kazimierz Żak, utyka na jedną nogę.

Kulawy... — pomyślałem, przypominając sobie mężczyznę w „Europejskim”, o którym mówiła Zoja.

— Lat 40 — ciągnął naczelnik — żonaty, dwoje dzieci. Karany. Osiem lat temu, sześć lat temu i trzy lata temu. Ostatni wyrok — półtora roku z artykułu 205 § 1.

— Kiedy wyszedł i czy wiadomo, dokąd się udał?

— Dwa lata temu. Przy zwolnieniu podał, że wraca do swego miejsca zamieszkania, czyli do Warszawy.

*

Zanim poszedłem do Kazimierza Żaka, koledzy przygotowali mi wyciąg: najpierw z Centralnego Rejestru Skazanych, następnie z akt sądowych.

Żak miał trzy sprawy. Dwie pierwsze dotyczyły drobnych kradzieży na szkodę zakładu pracy. Zainteresowały mnie nie tyle ich okoliczności, bo te były banalne, do miejsca pracy Kulawego: najpierw zakłady fotochemiczne, następnie spółdzielnia fotograficzna.

Gdzieś w mózgu błysnęło nowe alarmujące światełko.

— Czym ten Żak był z zawodu? — zapytałem kolegę.

— Technikiem fotograficznym — odrzekł, wertując notes. — Tak w każdym razie podawał w sądzie.

Trzecia ze spraw była inna. Zaopatrzony w aparat, Żak wędrował po wsiach i małych miasteczkach, wykonywał zdjęcia, a kiedy odbitki były już gotowe, zbierał zamówienia na portrety. Pobierał zaliczki, następnie zniknął bez śladu. Uprawiał ów proceder przez czas dłuższy i dało mu to sporo pieniędzy, zanim go wreszcie aresztowano.

Czy taki człowiek mógł mieć coś wspólnego z Ignatowiczem? — pomyślałem z powątpiewaniem.

Jednak zanotowałem adres Żaka. Przez pewien czas wahałem się, czy pójść do niego, czy wysłać mu wezwanie. Rozważałem obie możliwości, aż wreszcie wybrałem drugą. Zakładałem, iż w urzędowym otoczeniu będzie zapewne bardziej skłonny do wyznań.

Żak zjawił się punktualnie. Kiedy go prowadziłem z biura przepustek po schodach do swojego pokoju, zauważyłem, że rzeczywiście kuleje. Kalectwo było dość wyraźne i nie tuszował go nawet but na wyższej podeszwie. Pociągał trochę lewą stopą, jakby ją wlokąc za sobą.

Otworzyłem drzwi, wskazałem miejsce, wywiesiłem karton: „Przesłuchanie, proszę nie wchodzić” i włączyłem magnetofon. Te wszystkie czynności sprawiły Żaka W pewien niepokój. Nic wytrzymał i sam, pierwszy, zagadnął:

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego zostałem wezwany?

Usiadłem za biurkiem i — dopiero teraz — przyjrzałem mu się dokładnie.

Był to człowiek dość zniszczony, nadużywający alkoholu, nałogowo palący, chyba zarywający noce, może wreszcie i chory. Świadczyły o tym worki pod oczami, przekrwione białka oraz ziemista cera o rozszerzonych...porach. Nie można go było nazwać pięknym ani nawet przystojnym i pewnie o tym wiedział. Sytuację ratowały jedynie oczy — ciemne, ruchliwie, zdradzające spryt i inteligencję.

— W sprawie Ignatowicza — powiedziałem krótko.

Oczy Żaka uciekły niespokojnie w bok.

— Przecież znaliście się z więzienia w S. — wymieniłem nazwę.

— A... tak — powiedział niechętnie. — Mieszkaliśmy razem, rozumie się, w jednej celi. — Po raz pierwszy wtrącił, widać ulubione, powiedzonko: „rozumie się”. Potem miał je powtarzać częściej.

— No, a później? Po opuszczeniu zakładu karnego?

Przez chwilę się namyślał. Widać rozważał, czy od razu powiedzieć prawdę, czy też zaserwować jakieś kłamstwo. Wciąż przecież nic wiedział, o co chodzi. Obliznął wargi.

— Właściwie... — zaczął.

— A więc widzieliście się, tak czy nie? — Wcale nie potrzebowałem udawać zniecierpliwienia, bo byłem zniecierpliwiony naprawdę.

— Niby tak... — wykrztusił. Odetchnąłem. Łapałem jednak jakiś ślad. Teraz mogłem mu powiedzieć o morderstwie: O ile, oczywiście, nie wiedział już o nim wcześniej.

Niby rysując na papierze różne esy-floresy, kącikiem oka obserwowałem jego twarz.

Wiedział — pomyślałem. — Gdyby nie wiedział, zareagowałby inaczej. A więc znajomość musiała być bliska albo, jeśli nie bliska, to przynajmniej kontynuowana od wyjścia z więzienia aż do teraz.

— Szkoda człowieka — rzekł. — Ano, cóż — skonstatował filozoficznie — Jednym w życiu się szczęści, innym nie. Doktor należał do tych drugich. Wiem. bo sam mi o sobie nieraz opowiadał. W celi to się dopiero można nasłuchać!-

Zgodziłem się z nim.

— Gdzie pan teraz pracuje? — zapytałem.

Poruszył się niespokojnie.

— Dorywcz. Rozumie się. łapie się jakąś robotę, to tu — to tam.

— Po wsiach pan dalej jeździ, jak dawniej ?

Obruszył się.

— Skądże, ani mi to w głowie! Swoje odsiedziałem, a co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— I te dorywcze prace wystarczają na utrzymanie żony i dwojga dzieci? — zdziwiłem się.

— Jest jeszcze, rozumie się, i renta. — Wyciągnął przed siebie krótszą nogę, ubraną w ortopedyczny but. — Dali trzecią grupę. Dobre i to. Zawsze trochę forsy do domu zleci. Natomiast co do żony i dzieci, to Ja jestem teraz rozwiedziony. I jakby nic dość wszystkiego, jeszcze alimenty na dzieciaki płacić trzeba. Taki to już los. — Westchnął. — Mówiłem, że jednym się szczęści, a innym, co nie zaczął, jak z kamienia. Ja jestem — powiedział poufnie, jakby mi zdradzał nie wiem jaką tajemnicę — życiowy pechowiec.

Jakoś na niego nie wyglądał, wprost przeciwnie, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że chyba wie mu się wcale dobrze. Pewnie coś kombinował. Może jakieś waluty, melina na ruletkę albo dla prostytutek, pośrednictwo[^] czyli różne, a nie zidentyfikowane zlecenia dla równie nie zidentyfikowanych osób? Bo ja wiem — możliwości miał sporo. W zakładach karnych zapewne porobił odpowiednie znajomości i teraz zbierał z nich profit. A może podobnie — błysnęła mi nagła myśl — potoczyły się i dalsze losy Ignatowicza? Moment na wzięcie takiego życiowego zakrętu w chwili, -gdy wszystko się za nim waliło i kiedy cały świat wydawał się wrogi, mógł być odpowiedni.

Indagowałem dalej.

— Widziano pana; kilka razy z Ignatowiczem.

Nie zaprzeczył.

— Chyba jeszcze wolno spotykać się ze znajomymi?

Mimo pozornej pewności siebie, w głosie wyczułem niepokój.

Odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Co pan o nim wie?

Spojrzał na mnie przenikliwie, jakby chciał odgadnąć ewentualną pułapkę, kryjącą się za pozornie niewinnym pytaniem. Wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że po wyjściu z zakładu trzymał taksówkę.

— Musiałem mieć, widać, niedowierzającą minę bo też istotnie nie bardzo sobie wyobrażałem człowieka lubiącego wypić akurat w roli taksówkarza, skoro zaraz wyjaśnił.

— To znaczy, hm, jak by tu powiedzieć... — wiercił się niczym panna czekająca na kawalera na pierwszym balu — rozumie się, że tak zamierzał...

Wciąż powtarzał to swoje „rozumie się”. Jeszcze chwila, a wezmę go za kark i wyrzucę za drzwi. Z góry jednak wiedziałem, że tak nie zrobię.

— Ale mu jakoś nie wyszło. Co — nie , wiem dokładnie. Więc jeździł, rozumie się, ale dorywcz.

— Co to znaczy „dorywcz”?

— Ano, dorywcz. To podwiózł jakiegoś łebka, choćby z Okęcia do hotelu albo z dworca, to znów kurs się korzystny przytrafił, na przykład do Zakopanego lub Sopotu. No i jakoś żył. W każdym razie, rozumie się, do medycyny nie wracał, bo i — jak sam kiedyś powiedział — ani nie chciał, ani też nie miał po co wracać. Napęniała go wstrętem, pan rozumie? Tak właśnie mi powiedział. Wstrętem — powtórzył.

Na szczęście oszczędził mi swego powiedzonka i byłem mu, za to przynajmniej, wdzięczny. Poza tym dzięki niemu rysował mi .się bądź co bądź obraz Ignatowicza po opuszczeniu zakładu karnego. Na jakimś nowym dla niego etapie życia. Ciekaw byłem, jak sobie dawał radę w tej branży, gdzie konkurencja zazwyczaj jest spora i zawzięta. Może ktoś go do niej wprowadził? Ktoś, kto tam miał kontakty?

— Wiedział pan, gdzie mieszka? Pokiwał twierdząco głową.

— Mieszkał wcale ładnie — dodał. Nagle przypomniał sobie widać to, co mu opowiedziałem przedtem o zabójstwie, i skrzywił się z niesmakiem. — Że też akurat tam go musieli załatwić. ,

— Do końca nigdzie na stałe nic. pracował?.

— A, co do tego. to już nie wiem — zastrzegła się Żak. — Pan rozumie, widywałem go tylko .okolicznościowo...

— W „Europejskim"... — podpowiedziałem.

Spojrzał na mnie bystro, zarazem podejrzliwie. Zgodził się.

— Kilka razy, rozumie się.

— Interesuje mnie pewien wieczór. Z dwiema - paniami, jedna starsza, druga młodsza.

Wysilił pamięć.

— Kiedy to było?

— Starsza głośno się śmiała.

— Ach, tak — błysk zrozumienia przemknął mu przez twarz. — Znaczą się, Ala. Tylko Ala śmieje się w ten akurat sposób. A jeśli to była Ala, pewnie i Teresa.

— Bliskie znajome? Uśmiechnął się, trochę oblesnie.

— Dość bliskie.

— Nazwiska, adresy pan zna?

Jakby się spostrzegł, że powiedział za dużo, bo zmarkotniał.

— Ala Fizoń — podyktował, chociaż nie byłem pewny, czy mówi prawdę. — A ta druga... Teresa... Teresa... Nie — pokręcił przecząco głową. Po raz pierwszy ujrzałem pot na jego czole. — Nie przypomnę sobie za nic. Ala mieszka na Pradze. Teresa wyszła za męża, kilka miesięcy temu. Chyba za jakąś ważną szybę — dyrektora czy coś w tym rodzaju.

— Gdzie pracowały? — zapytałem. Wytrzeszczył oczy, jakbym pytał o ton. w jakim grzmiały trąby pod murami Jerycha.

— Ala była kierowniczką, a Teresa ekspedientką w komisie — wyjaśnił, prawie zdziwiony, że nie wiedziałem.

Zamknąłem notes.

— Kiedy widział pan Ignatowicza po raz ostatni? — zagadnąłem.

Namyślał się. Przygryzał wargi. Zauważyłem, że choć zapewne przygotowywał się do tej chwili od początku rozmowy, a przynajmniej od momentu, kiedy mu powiedziałem o zabójstwie, to jednak nie wie jak wybrnąć, sobie przy tym nie szkodząc.

Wreszcie odparł.

— Z miesiąc, może półtora temu.

— A inni? Zna pan nazwiska jakichś osób, z którymi się przyjaźnił? Znajomych?

Zaprzeczył; zbyt energicznie.

— Żadnych. Widywaliśmy się, rozumie się, raczej przelotnie. Od czasu do czasu knajpa, weekend z dziewczynami na zielonej trawce, sam pan widzi — znów mi pokazał chromą nogę — że z takim kulasem mowy nie ma o prowadzeniu wozu, więc korzystałem. Piwko, niekiedy wspólna wódka, i cześć — cześć. Każdy leciał do swojej roboty.

— A propos roboty — powiedziałem — czy fotografuje pan nadal?

Twarz mu stężała, oczy skryły się na moment za opuchniętymi powiekami. Kiedy zza nich wyjrzały, były już absolutnie i najzupełniej obojętne, co mnie utwierdziło, że trafiłem w czułe miejsce.

— Owszem — odpowiedział po chwili — ale tylko amatorsko.

— Tak jak Ignatowicz? — spytałem. Pytanie spadło na niego niczym grom z jasnego nieba. Zauważyłem, że pobladł, przez co rozszerzone pory na twarzy stały się jeszcze wyraźniejszo, podobne śladom po ospie. Kułem żelazo, póki gorące.

— Znaleźliśmy u niego trochę zdjęć — zacząłem niewinnie. — Różnych — dodałem po chwili tonem, który mógł równie dobrze oznaczać wiele, co nic.

— Czy to ma jakiś związek z...? — wykrztusił.

— Owszem, ma — odparłem najobojętniej, jak tylko mogłem. — Dlatego właśnie pytałem, czy pan fotografuje?

Nie mógł już dłużej tego znieść. Napięcie było widać zbyt wielkie, skoro wybuchnął.

— Czego ode mnie chcecie? Przecież go nie sprzątnąłem! Czemuście się mnie akurat uczepili? — Przerwał i nagle, głęboko nabrawszy tchu, niby bez związku rzucił:

— W zakładzie człowiek dowiaduje się różnych rzeczy o innych... Doktor też czasem mówił o sobie. Wynikało z tego, rozumie się, że nie samych miał przyjaciół. Nie wszyscy go lubili, zwłaszcza facet, który mu zabrał żonę. Doktor, rozumie się, też go nie darzył sympatią. Raczej cholernie nie, szczególnie od czasu, gdy poszedł za niego siedzieć. Pan wie — spytał — że tamci dwoje złożyli podobno fałszywe zeznanie w sprawie doktora, wszystko opisali inaczej — żeby go tylko wsadzić? Rozumie się, że doktor darować tego nie mógł. Przyrzekł, że w końcu, choćby i czekać miał latami, znajdzie jednak na tego drania jakiś haczyk. No i właśnie niedawno — znowu pochylił się ku mnie tak blisko, że poczułem jego oddech — zwierzył mi

się, że, wreszcie coś odkrył. że jeszcze trochę, a teraz to już nie on, ale tamten facet pójdzie siedzieć, i to na znacznie dłużej.

— Nie mówił, o co chodziło?

— Nie, nawet pytałem, ale rozumie się to miała być tajemnica do chwili, aż będzie zupełnie pewny.

— I nie domyślał się pan, o co chodziło?"

— Pewnie o jakieś kanty — odparł i, może mi się tylko wydawało, zmrużył znacząco oko. — Ten facet to nadziany pasażer, podobno właściciel warsztatu czy czegoś tam jeszcze. U takich nietrudno o różne interesy...

*

W ten sposób miałem więc na razie dwóch podejrzanych. Pierwszym był mąż zmarłej z winy Ignatowicza pacjentki — Adam Małysz, który na własną rękę zamierzał szukać sprawiedliwości, drugim — o ile zeznania Żaka były rzeczywiście prawdziwe — mąż byłej żony Ignatowicza, właściciel warsztatu: „Naprawy, konserwacja, diagnostyka pojazdów samochodowych" — Mariusz Strojny. Albo i nawet sama Zoja. W końcu im obojgu mogło coś grozić ze strony Ignatowicza.

Czego się jednak mógł doszukać? Usiłowałem skupić się nad tą kwestią.

Ignatowicz — myślałem — używał swego samochodu do celów nie zawsze jasno określonych i sprecyzowanych. Powiedzmy — różnych lub nawet — bardzo różnych. Już z tego tylko tytułu obracał się zapewne w , określonych kręgach, wśród ludzi niejednokrotnie ze sobą tak czy inaczej związanych, znających się, robiących wspólne interesy. A Strojny jest właścicielem warsztatu samochodowego. Mógł mieć podobne, może czasem nawet te same kontakty.

Na wszelki wypadek zainteresowałem sprawą wydział, zajmujący się przestępczością gospodarczą, prosząc, aby jeśli natrafia na jakikolwiek, choćby najmniejszy ślad, zaraz mnie o tym powiadomili. Ze swojej strony również postanowiłem zająć się bliżej osobą Strojnego. Zrobiliśmy mu parę zdjęć, w które zaopatrzyłem następnie wywiadowców. Mieli dyskretnie zebrać trochę wiadomości o tym człowieku, o jego kontaktach, sposobach spędzania czasu, a przede wszystkim o dniu, w którym zginął Ignatowicz. Wykonano też kilka zdjęć samego warsztatu.

Porównywałem je następnie z fotografiami, znalezionymi w mieszkaniu, zajmowanym przez Ignatowicza. Na razie nie dało mi to nic.

Kiedy tak wertowałem zdjęcia, zatrzymałem wzrok na fotografii przedstawiającej jakiś fragment szosy, a raczej nie szosy, tylko obramowującego ją lasku. Na drugim planie stał samochód. W tym ujęciu widoczny był jedynie jego tył.

Wziąłem szkło powiększające. Z dużą biedą, ale chyba dałoby się odczytać numery rejestracyjne na tablicy u dołu. Podobnie jak i napis na stojącym nie opodal drogowskazie. Przy użyciu tylko szkła powiększającego zrobić tego jednak nie sposób. Porozumiałem się z laboratorium, prosząc, żeby mi wykonali odbitki — tak duże, jak tylko się da.

Kiedy je otrzymałem, okazało się, że fotografia przedstawia tył samochodu, należącego do Ignatowicza. Znaki rejestracyjne się zgadzały. Z drogowskazu odczytałem jedynie ostatnie litery: „...biec — 2 km, ...szno — 5 km".

W tym momencie rozpoczął się dla mnie kolejny wątek.

4

Myślę, iż najlepszym tytułem byłby chyba

SAMOCHÓD

choć trudno poza ten temat, i to niejednym razem, nie wykraczać. Wybrałem go zresztą dopiero po pewnym namyśle, głównie dlatego, że na określonym etapie sprawa samochodu Ignatowicza bardzo zaabsorbowała nasze siły. -1 nie tylko z tych względów...

Historia samochodu zaczęła się równoległe ze śmiercią Ignatowicza. A może jeszcze wcześniej, skoro meldunek, przekazany przez milicję drogową, nosił datę wyprzedzającą o dwa dni morderstwo. Tylko że dotarł później, w momencie, kiedy komendy dostały, informacyjny serwis, zawierający wiadomość o zabójstwie oraz dalekopisy, oznajmiające początek poszukiwań zaginionego wozu.

Zgłoszenie Ignatowicza przyjmowała komenda z Cyryla i Metodego — na Pradze. Zgodnie z treścią meldunku wóz marki fiat, numer rejestracyjny... kolor kremowy, skradziono nocą z dnia — tutaj wstawiono datę — na... Okoliczności kradzieży nie zostały wyjaśnione. Ignatowicz podawał, iż odwiedzał znajomą, a samochód zostawił na osiedlowym parkingu. Kiedy wychodził — wozu nie było. Czas opuszczenia mieszkania znajomej określony został na godzinę 9 rano dnia następnego.

Sprawdziłem datę — chodziło o noc z soboty na niedzielę. We wtorek wieczór Ignatowicz już nie żył. Czy między tymi dwoma wydarzeniami — kradzieżą wozu i zabójstwem — istniał jakiś logiczny związek, czy był to jedynie przypadkowy zbieg okoliczności?

Może i skłonny byłbym nawet uwierzyć w to drugie, bo przecież nic — jak dotąd —; nie przemawiało za pierwszym, gdyby nie zastanawiająca zbieżność w czasie, odległym od siebie zaledwie o dwa dni.

W każdym razie rozesłaliśmy do wszystkich komend dalekopisy z opisem sprawy, dGdając kilka słów o jej ewentualnym związku z dokonaniem zabójstwem i prosząc o traktowanie jako pilnej.

Mimo wysiłków poszukiwania nie dawały jednak efektu — kiedy przesłuchiwałem technika fotograficznego Kazimierza Żaka, pseudo „Kulas” albo „Kulawy”, nadal trwały. Wtedy jednak uderzyło mnie jeszcze coś innego. Zajrzałem ponownie do notatek z przesłuchania, a następnie do meldunku z Cyryla i Metodego. Zgadzało się! W obu przypadkach pojawiało się to samo nazwisko. Raz była to co prawda partnerka z dąsingu w „Europejskim”, a następnie — znajoma Ignatowicza, u której spędził on noc, podczas, której

skradziono samochód, ale za każdym razem chodziło o niejaką Alę Pizoń, kierowniczkę któregoś ze sklepów komisowych w Warszawie.

*

Pani Alicja Pizoń była bardzo zadbaną i bardzo umalowaną brunetką po czterdziestce. Miała wypięgnięte ręce o pulchnych dłoniach i długich, wymanikiurowanych paznokciach. Poruszała się z dystynkcją, zdradzającą nie tyle arystokratyczne pochodzenie, ile wysiłki własne oraz — tak mi się wydawało — salonu kosmetycznego, któremu musiała powierzać swe ciało, przejawiające, jak często u kobiet w tym wieku, pewną skłonność do tycia. Bardzo łatwo wyobrażałem ją sobie na jej stanowisku, należała bowiem do kategorii ludzi, szczerze obdarzających zaufanych uśmiechami i poufałością, dla innych zaś mających jedynie lodowaty odcień pogardy i lekceważenia.

Ale zaraz na początku okazało się, że się pomyliłem. W komisie bowiem już jej nie zastałem. W dyrekcji poinformowano mnie, że sama poprosiła o zwolnienie. Dawano mi przy tym dyskretnie do zrozumienia, iż nie obyło się to bez istotnej przyczyny. Wspomniano o pewnych podejrzeniach co do rodzaju kontaktów natury handlowej z niektórymi klientami.

Zrozumiałem! Komisy przeżywały niejedną taką sprawę i pewnie niejedna się jeszcze zdarzy. Po prostu niektórym trudno się powstrzymać od przyjmowania tzw. drobnych . upominków 'od komisantów, stosunkowo często wstawiających towar do sprzedaży; a czasem jedno warunkuje drugie. Inni zawierają zbyt chętnie znajomości z osobami, występującymi później nierzadko w aferach przemytniczo-dewizowych, albo wręcz z handlarkami, prowadzącymi na wielką skalę skup towarów zagranicznych na terenie kraju. Prawdziwa to „konkurencja” dla komisów. Bywa z tego wszystkiego duży dochód, ale i występuje ryzyko. Na ogół drugiego nie bierze się pod uwagę, ponieważ obawę ryzyka przesłania przekonanie, że o zarobek łatwo, o wpadkę natomiast nie.

Jakkolwiek by było, panią Alę odnalazłem nie na jej dawnym, o ile tak to można określić, posterunku pracy, lecz w domu, w stanie skrajnego rozgoryczenia.

Mieszkała wcale nieźle. Co prawda na Pradze II, a więc w osiedlu o stosunkowo marnej renomie, niemniej zajmowała dwa pokoje z kuchnią, umeblowane więcej niż przyzwoicie. Była kobietą samotną, owdowiała — jak mnie od razu poinformowała — kilka lat temu. Jej córka zdążyła wyjść za mąż i teraz przebywała gdzieś na Wybrzeżu, syn odslugiwał aktualnie wojsko.

W tych warunkach — pomyślałem— rzeczywiście miała niejedną okazję, żeby się zabawić i pozawierać nowe znajomości.

Tak właśnie — jak mi wyjaśniła — poznała Żaka. Mimo kalectwa, nie stronił od towarzyskiej zabawy i miał, jak to określiła, gest. Żak przedstawił jej przy jakiejś okazji Ignatowicza. Nie, nie wiedziała, . czym się zajmuje Ignatowicz ani gdzie pracuje, a pytać nie wypadało. Jedyne z rozmów oraz półsłówek mogła się zorientować, że chodzi o interesy prywatne i że do zajęć Ignatowicza niezbędny był samochód. Dlatego, pewnie tak go zdenerwowała kradzież wozu, który zniknął ' — pech chciał — «akurat spod jej mieszkania.

Zapytała zresztą o wynik poszukiwań, a potem — trochę obcesowo — dlaczego właśnie ją indagujemy na temat Ignatowicza, którego wszak widywała jedynie przelotnie i okazjonalnie.

Musiałem mieć trochę niedowierzającą minę, skoro zaczęła mnie o tym zapewniać jeszcze bardziej natarczywie, chcąc, bym uwierzył.

Dlaczego jej na tym zależy? — pomyślałem i spytałem, czy znała adres Ignatowicza.

Zaprzeczyła.

— Tylko telefon — odparła. — I właśnie tego dnia zadzwoniłam.

— Którego? — chciałem wiedzieć. Spojrzała na mnie z -wyrazem zdziwienia w okrągłych oczach.

— Oczywiście w sobole — odpowiedziała, jakby to była rzecz zupełnie naturalna. — Tego dnia, kiedy skradziono mu fiata.

Albo rzeczywiście nie wiedziała, o co tym razem chodzi, albo też udawała, że nie wie i raz po raz zwękslowywała rozmowę na temat kradzieży wozu. Postanowiłem wysłuchać do końca i ani razu już jej opowiadania nie przerwałem.

— Spytałam, czy może do mnie przyjechać, bo mam zmartwienie. Namawiał, żebym powiedziała przez telefon, w czym rzecz, ale nie chciałam. Wreszcie obiecał, że przyjedzie. I przyjechał. Wieczorem. Dałam koniak, zakąski — jeszcze umiem podejmować mężczyzn. Został na noc. No, a rano... Żebym to ja wiedziała, że rano go spotka taka przykreść! Wrócił na górę, żeby zadzwonić stąd na milicję. Błady był jak ściana, przeklinał i ręce mu się trzęsły.

Pomyślałem sobie, że reakcja Ignatowicza była jednak chyba niewspółmierna do poniesionej straty. W-końcu jego fiat nie był już w tym czasie wozem nowym, poza tym miał — bo sprawdzałem — odpowiednie ubezpieczenie, także od kradzieży. A więc? Czyżby właśnie tam, w samochodzie, znajdowało się coś, na czym ogromnie zależało Ignatowiczowi?

Wyglądało na to, że skończyła, więc zagadnąłem :

— Miała pani rzeczywiście jakieś przykreści?

— Czy miałam? — wykrzyknęła. Ze zwinnością, o' jaką bym jej nigdy nie podejrzewał, poderwała się z wersalki i bardziej podbiegła niż podeszła do okna. Po raz pierwszy od początku rozmowy zobaczyłem ją tale wzburzoną.

— Pewnie! Właśnie tamtej soboty ci...— szukała przez pewien czas odpowiedniego określenia — dranie kazali mi pisać wymówienie. I niby im jeszcze miałam dziękować za to, że mi umożliwiają ,odejście na własną prośbę. Spytałam, co będzie, jeśli się nic zgodzę. Okazało się, że tak czy tak, dostanę wymówienie. Powód oficjalny się znajdzie. Pan nie wie, jak to u nas jest? Zawsze się można do człowieka przyczepić... Więc napisałam — co mi pozostało? Odwoływać się gdzieś, prosić?

Przeigrana sprawa, jak się nie ma odpowiedniego zaplecza. A ja straciłam. Odszedł właśnie zastępca dyrektora, który mnie popierał. No i zaraz za dyrektorem polecałam ja. Dawno już byłam co poniektórym solą w oku. Zwłaszcza tej całej Teresie!

Nadstawiłem ucha. I to imię nie było mi obce.

— A tak! — ciągnęła dalej. — Męża złapała ustosunkowanego, to już myślała, że wszystkie rozumy zjadła. Złakomiła się na moje stanowisko, chciała być wielką panią kierowniczką. Myślała, że jak mnie podgryzie, to zaraz mnie wyrzuca, a ją zamianują. No i mnie wyrzucili, ale jak ona ekspedientką była, tak została.

— Skąd pani wie, że to akurat ona?

— Jak to skąd? Jeszcze się ma trochę znajomych. Pokazali donosy, jakie na mnie powypisywała. A sama niby istne wcielenie niewinności! Poszukałby pan trochę, toby się pan niejednego dowiedział. Włosy

by na głowie dęba stanęły! Bo o mnie, proszę pana, można powiedzieć to czy tamto, ale takich rzeczy, jak Teresa, nigdy bym nie robiła.

— O co chodzi? — zainteresowałem się. Uszmiukowane wargi zacisnęły się, aby po chwili wypluć z siebie kolejną porcję zawodu i nienawiści.

— Nikt świętym co prawda nie jest, ale żeby pozować do takich — zaakcentowała specjalnie mocno — zdjęć! A tak. proszę pana — zauważyła, że patrzę z niedowierzaniem — właśnie do takich świńskich fotografii! Pan może pomyśleć, że kłamię. Nie, mówię świętą prawdę, najświętszą! Pan wie, jak się o tym dowiedziałam? Przez przypadek, zupełnie przez przypadek. Otóż kiedy Zenek wyjrzał rano przez okno i zobaczył, że nie ma jego wozu, tak się zdenerwował, że wyskoczył na dwór w ogóle bez płaszcza i bez marynarki. Chciałam przewiesić marynarkę z krzesła na wieszak, no i wtedy... — przerwała, zastanawiając się prawdopodobnie, jak przedstawić całą scenę w sposób, który by nie ośmieszał jej babskiej ciekawości oraz nie zdradzał, że sama pewnie wsunęła rękę do kieszeni — wypadła z kieszeni koperta ze zdjęciami. Wie pan, jakie to zdjęcia? Same gołe panienki w różnych pozach. Obrzydlistwo! — wzdrygnęła się. — No i wśród nich nasza Teresa! Teraz pan rozumie? Chciałam nawet zabrać fotografie, żeby ją móc potem zapytać, co to wszystko znaczy, ale usłyszałam, że Zenek wraca. Włożyłam więc kopertę z powrotem do kieszeni i udałam, że w ogóle nic nie widziałam ani nic nie wiem. No, a żeby w tedy była trochę mądrzejsza i trochę bardziej przewidująca, teraz miałabym na nią haczyk.

— Rozmawiała pani z nią potem na ten temat?

— A jakże! W oczy jej powiedziałam!

— Co ona na to?

— Żeby pan wiedział, jak się oburzyła! Istna świętoszka! Powiedziała, że jak jeszcze raz coś takiego powiem, to mnie do sądu zaskarży za oszczerstwo. No i musiałam zmilczeć. Dowodu przecież w rękach nie miałam. Dzwoniłam wprawdzie do Ignatowicza. ale chyba gdzieś wyjechał, skoro się do tej pory .nie odezwał, mimo że obiecał. Nawet mi nie dał znać, co z samochodem. Tak to bywa — westchnęła — że jak człowiek na wozie, to wszyscy z nim. jak pod wozem — nie ma nikogo. Prosiłam Zenka, znaczy Ignatowicza — poprawiła się — żeby on albo któryś z jego znajomych ulokowali mnie na posadzie. Po to właśnie do niego zadzwoniłam, obgadać wszystkie sprawy. Wiedziała, że jak pracuje prywatnie, a wie dzie mu się chyba nieźle, to pewnie ma znajomości. A przez znajomości wiele można załatwić i niech pan nie mówi, że nie, bo znam życie... Żak też gdzieś zniknął — dodała po chwili — zupełnie jakby się zapadł pod ziemię. Wygląda na to, że człowiek będzie musiał w końcu brać to, co mu dadzą, a nie to, co sam by chciał...

Opuściłem jej mieszkanie, nie przeczę, kompletnie zaskoczony. Takiego obrotu sprawy jednak się, mimo wszystko, nie spodziewałem.

W szczerłość opowiadania rozżalonej byłej kierowniczką komisju raczej nie wątpię. Chyba że wymyśliła sobie naprędce tę historię z chęci odegrania się na szkodzącej jej koleżance. Jednakże odkrycie pornograficznych fotek w specyficzny sposób wyjaśniało charakter kontaktów Ignatowicza z Żakiem. Mogłem się domyślać przebiegu ich znajomości, związanej w zakładzie karnym, a owocującej pomysłem, zapewniającym .wcale nieźle źródła utrzymania. Wymagał on co prawda pewnego fachowego przygotowania — które miał niewątpliwie Żak jako zawodowy fotograf — obrotowości oraz kontaktów w rozprowadzaniu zdjęć do odbiorców lub pośredników. Samochód mógł się tu okazać niezastąpiony, przypuszczalnie służył jako skrytka oraz jako środek transportu. Skąd jednak brano modelki? Wchodząca ewentualnie w rachubę pewna kategoria kobiet, zatrudniających się od czasu do czasu również i przy takich zajęciach, zwykła się wówczas cenić. A wyższe stawki — to i zysk mniejszy. Żak oraz Ignatowicz — o ile rzeczywiście wpadli na taki po-

mysł — zapewne brali i ów czynnik pod uwagę. Pomysłowość mogła im więc podszeptać inne rozwiązanie. Na przykład... na przykład — odkryłem — poszukiwanie kandydatek do filmu,

W ten sposób wyjaśniałaby się i kolejna zagadka, przed którą stanąłem już na początku. Znaleziona w mieszkaniu zamordowanego legitymacja, mianująca 1-gnatowicza asystentem operatora, była co prawda sfalszowana, lecz o tym trzeba było wiedzieć. Z taką legitymacją, z samochodem, odpowiednią aparaturą oraz pomocnikiem (zapewne i głównym pomysłodawcą, bo tego bardziej bym się spodziewał po Żaku niżli po Ignatowiczu) łowy mogły wypaść wcale udanie. Naiwnych w końcu nie brakuje, zwłaszcza wśród młodych dziewcząt, marzących o karierze filmowej, a kto wie, czy nic wyobrażających jej sobie w takiej także postaci.

Cała koncepcja była — jak skonstatowałem, rozważając ją raz jeszcze — pociągająca. Cóż jednak wynikało z niej dla mnie w chwili obecnej, pomijając oczywiście fakt własnej satysfakcji? Zakładając nie wyjaśniony dotąd związek pomiędzy przypuszczalnym zajęciem Ignatowicza a jego zabójstwem, dostrzec by go można również w dwóch innych wypadkach. Zarówno mąż zmarłej niegdyś pacjentki Ignatowicza, Adam Małysz, jak i właściciel warsztatu „Naprawy, konserwacja, diagnostyka pojazdów samochodowych”, Mariusz Strojny, też mogli mieć powody do nienawiści lub obawy, a więc — i do zabójstwa.

Mogli, lecz nie musieli, ponieważ w obu wypadkach nie wiedzieliśmy nic ponad to, co napisałem już przedtem. Nad Strojnym i jego warsztatem roztoczyli dyskretną obserwację koledzy z wydziału do walki z przestępczością gospodarczą, lecz jeszcze nie przyszła pora na formułowanie wniosków.

Z Małyszem sam rozmawiałem. Był to człowiek o mocno nadwątłym, nie wiem tylko czy minionymi przejściami, czy chorobą, systemie nerwowym. Przemawiało za tym wszystko: kłujące spojrzenie oczu, wświdrowujących się w człowieka tuk, jakby go chciały prześwietlić na wylot, niespokojne ruchy, szybko, trochę chaotyczna mowa, wreszcie istna lawina papierów, jakimi mnie zasypał.

Były to głównie skargi różnego typu, także na szereg instytucji biurowych, w których Małysz na ogół długo nie zagrzewał miejsca; przeważała jednak i przewijała się wciąż, niczym przewodni motyw sprawa związana ze śmiercią żony i dziecka oraz z późniejszym, daremnym, jak to wielokrotnie podkreślał — poszukiwaniem sprawiedliwości.

Kiedy mi tak wszystko nerwowo relacjonował — niepozorny, chudy i skromnie, powiedziałbym wręcz biednie ubrany mężczyzna w średnim wieku, zajmujący samotnic zaniedbane mieszkanie bez śladu kobiecej pieczy — zrobiło mi się go naprawdę i szczerze żal.

Stłumiłem jednak w sobie te uczucia. Mimo wszystko — był przecież jednym z podejrzanych. Nie wypierał się nienawiści do Ignatowicza. wprost przeciwnie — stale ją podkreślał. Wiedział o śmierci Ignatowicza oraz — co dziwniejsze — również o jej okolicznościach. Na moje pytanie znalazł od razu wytłumaczenie. Od momentu wyroku sądowego, śledzenie losów Ignatowicza w oczekiwaniu na sprawiedliwość stało się jego prawdziwą obsesją. Początkowo dysponował jedynie adresem, zapisanym w sądowych aktach, następnie dowiedział się o aresztowaniu Ignatowicza i o jego kolejnej sprawie. Obecny w sądzie, z łatwością obliczył okres odbywania kary, by potem z jeszcze większą zaciekłością dopaść człowieka, którego obwiniął o śmierć żony. Zaczął mu wysyłać — przyznawał się do tego, o dziwo, z żenującą nieledwie satysfakcją — anonimowe listy z pogrózkami, życzeniami wszystkiego najgorszego oraz obietnicami rychłej zemsty.

— Jak pan zamierzał jej dokonać? — zapytałem.

Oczy błysnęły mu gorączkowym, niezdrowym blaskiem. W tym momencie wyglądał na człowieka chorego i zdolnego do nieobliczalnych czynów. Czy również do zabójstwa? — pytałem w duchu sam siebie, lecz już otrzymałem odpowiedź.

— Zniszczyć go moralnie — odrzekł z całym przekonaniem. — Obrzydzić mu życie tak, żeby pewnego dnia poczuł, że ma wszystkiego dosyć.

— Ach — powiedziałem domyślnie— liczył pan więc na samobójstwo? Uważa pan, że Ignatowicz byłby do niego zdolny?

— Kto wie? — odparł pytaniem na pytanie, przymykając powieki. A potem marzycielsko: — Piło się... A jak się pije, czasem przychodzi delirium. Wiele na ten temat czytałem. Widzi się białe myszki, węże, obrzydliwe pająki i inne stwory. Człowiek się boi, zwłaszcza gdy go sumienie gryzie.

Nałóg Ignatowicza był mu, jak się okazuje, dobrze znany i chciał go wykorzystać dla własnych celów obsesyjnej zemsty. Pewnego dnia mógł jednak dojść do wniosku, że wszystko się zbyt przeciąga. Przy kruchym, może nawet i chorym systemie psychicznym mogła go zawieść cierpliwość, natomiast on sam zapragnął pomóc nierychliwej sprawiedliwości.

— Ignatowicz jednak wyprowadził się, przeniósł gdzie indziej — zauważyłem.

Na bladych, wąskich ustach Małysz ukazał się nieprzyjemny uśmiech.

— Od czego biuro adresowe? Napisałem, trochę to trwało, ale w końcu dostałem nowy adres.

— Tam też pan pisał?

Przytaknął, sprawiając wrażenie osoby, która nie zdaje sobie w ogóle sprawy o konsekwencji, jakie jej może przynieść tego rodzaju wyznanie. Czyżby był rzeczywiście człowiekiem psychicznie chorym? — pomyślałem raz jeszcze. Zauważyłem, że aż dygoce z wewnętrznego, nienaturalnego podniecenia. Zrozumiałem, że po niewątpliwie długim okresie milczenia, jaki miał z sobą, obecnie chyba odczuwał wewnętrzną potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego. Tym bardziej że Ignatowicz już nie żył.

Postanowiłem, zapytać listonosza. W willi zajmowanej przez Ignatowicza nie natrafiłem przecież na żaden ślad takiej korespondencji. Wątpiłem jednak, by Ignatowicz — mając już doświadczenia z poprzedniego mieszkania — w ogóle otwierał koperty. Zapewne wrzuca! je, nawet nie przeczytane, po prostu do kosza. Tymczasem Małysz łudził się, że — pisząc coraz to nowe epistoły — wzbudza wyrzuty sumienia.

— Oliwa sprawiedliwa — podjął — zawsze na wierzch wypływa. Tak i tutaj. Okazuje się, że człowieka nikczemnego prędzej czy później, ale kara spotka.

Mówił z uniesieniem w głosie, niczym natchniony mistyk.

— Jakim mieczem wojujesz, od takiego giniesz. Nożem moją żonę Zabił i od noża zginął. Nic mu nie pomogło, jak i przed sprawiedliwością — boską czy ludzką — ale człowiek się nic ukryje.

— Skąd pan wie, jak zginął? Obruszył się.

— Mało to osób mówiło?

Natychmiast znalazł ogólnikową odpowiedź, której nic mogłem zakwestionować. W końcu rzeczywiście wystarczyło, by tylko jedna osoba zobaczyła zwłoki Ignatowicza lub usłyszała, co mówił chociażby dzielnicowy. Wiadomości tego typu, choć obrośnięte plotkami i domysłami, zwykły się rozchodzić szybko i szeroko.

Mimo wszystko jednak, jak zauważyłem, Małysz był człowiekiem inteligentnym. Może właśnie dlatego, o nic przez nieprzeparta chęć zwierzeń, opowiedział mi o listach? Opowiedział w przekonaniu, że mo-

glibyśmy gdzieś jakiś odnaleźć i teraz musi je — zarazem siebie — tak wytłumaczyć, aby uniknąć podejrzenia o zabójstwo.

Mogłem snuć kolejną koncepcję. Jak bardzo bowiem okoliczności zbrodni pasowały mi do mało zrównoważonego Małysza,.. To chluśnięcie w twarz ofiary żrącą substancją, a później zaciekle uderzenia — właściwie na oślep. Szesnaście ciosów, zadanych ostrym narzędziem! Tak zabija się w chwilowym zamroczeniu, w stanie, którzy psychiatrzy zwą niekiedy dysforią gniewliwą, lecz również z nienawiści, z zemsty.

Na przypuszczalną porę zabójstwa Ignatowicza Adam Małysz alibi nie miał...

*

Właściwie powinienem teraz napisać, że przesłuchanie Małysza odbyło się wcześniej — zanim jeszcze trafiłem do Zoi i Mariusza Strojnych i zanim poszedłem do byłej kierowniczkii komisji, Alicji Pizoń. Jednak wspominałem, że nie zachowuję kolejności chronologicznej, tylko staram się ukazać, jak stopniowo obraz się poszerzał i obrastał szczegółami.

Rzecz jasna, przesłuchiwalimy ponownie listonosza. Potwierdził, iż Ignatowicz otrzymywał listy wyjątkowo często. Jaka była reakcja na te przesyłki — nie wiedział. Listy były „zwykłe”, więc wkładał je do skrzynki przy furtce. O ile pamięta, niekiedy nic zawierały ani nazwiska nadawcy, ani miejsca zamieszkania, a sam adres wypisany był dużymi, drukowanymi literami. Zapytaliśmy jeszcze, czy nie budziło to jego zdziwienia. Odrzekł, że czasem się nad tym zastanawiał. Ze jednak poczta przyzwyczajona jest do najdziwniejszych nieraz rodzajów korespondencji, a sam Ignatowicz nigdy nic nie wspominał na ten temat ani się też nie skarżył, więc i listonosz przyzwyczał się z biegiem czasu.

Mimo nadal prowadzonych poszukiwań, nie natrafilimy na ślad samochodu Ignatowicza. Nasi specjaliści zajęli się więc fotografią, przedstawiającą tył tego wozu.

Mogło- się "to wydawać stratą czasu, czynnościami prowadzącymi donikąd. Każdy jednak, kto popracuje w naszym fachu trochę dłużej, wie, że nieraz rezultaty zbiera się po zgromadzeniu pozornie nic nie znaczących, a czasem i mało związanych z właściwą sprawą szczegółów.

W kilka dni później przedstawiono mi hipotezę zakładającą, iż fotografię wykonano w okolicach Warszawy, najprawdopodobniej przy drodze lokalnej Leszno--Kazuń. Z ostatnich liter, widocznych na drogowskazie, ułożono całość: ..(ubiec — 2 km, Leszno — 5 km". Załączono również dodatkowe zdjęcia porównawcze, wykonane w ten sposób, by przedstawiały identyczny fragment drogi. Dla porównania pozycji samochodu użyto milicyjnego fiata.

Istotnie, obraz się zgadzał. Samochód został więc sfotografowany — najprawdopodobniej przez samego Ignatowicza lub przez osobę mu towarzyszącą — nu poboczu drogi, w okolicach Roztoki, a raczej między Roztoką i Łubcem. W tym miejscu rozciągają się po obu stronach szosy, t dalej od niej, lasy Puszczy Kampinoskiej. Przecinane przez kanał Roztoki, ciągną się z jednej strony po Truskaw, Laski i Węglową Wólkę, z drugiej, z przerwami zajętych przez enklawy błotnistych łąk i biednych puszczańskich wsi, docierają do Żelazowej Woli, Tułowic, Sochaczewa.

W jakim jednakże celu Ignatowicz przyjeżdżał samochodem aż tam? Czy tylko na niedzielne wyprawy na zieloną trawkę, czy też z jakimiś innymi zamiarami?

Była to kolejna, trudna do rozwiązania zagadka.

Na to, ażeby przesłuchać Teresę — nazywała się obecnie, po zamążpójściu, Teresa Tobolczyk — czekałem dość długo, ponieważ — jak poinformowano mnie w komisie, w którym nadal pracowała — wyjechała z mężem na urlop za granicę. Mąż był rzeczywiście dość znaczną figurą, przynajmniej w handlowej hierarchii, ponieważ piastował dyrektorskie stanowisko. Już z tej racji oraz z uwagi na koneksje, jakie zapewne posiadał, Teresa mogła z powodzeniem liczyć na dalszą pracę w komisie. Co prawda jakoś się jej nie udało zdobyć etatu kierowniczkę, niemniej i tak pewnie miała tam wcale nieźle.

Czekając na nią, zająłem się bliżej Żakiem. Przy pierwszym przesłuchaniu Żaka popełniłem błąd, zdradzając niechcący, iż zakładałem, że może istnieć związek pomiędzy zdjęciami znalezionymi w mieszkaniu Ignatowicza a zabójstwem. Na swoje usprawiedliwienie miałem co prawda fakt, że celowałem wówczas na chybił-trafił i nie mogłem przewidzieć późniejszego obrotu sprawy. Niemniej, jeśli kontakty między Ignatowiczem a Żakiem miały rzeczywiście taki charakter, jak podejrzewałem. Żak został — niechcący, bo niechcący — lecz jednak ostrzeżony. Zanim Alicja Pizoń opowiedziała mi o pornograficznych zdjęciach i zanim połączyłem ów fakt z reakcją Żaka na moje ówczesne pytania w sprawie fotografowania, Żak zdążył się odpowiednio zabezpieczyć.

Przeszukanie mieszkania Żaka nic nam nie dało. Nie znaleźliśmy ani jednego dowodu i ani jednej fotografii czy filmu, przemawiających za tym, że rzeczywiście wespół z Ignatowiczem parał się procederem, o jaki go podejrzewaliśmy. Był czysty jak łąza i niemal widziałem w jego oczach kpinę. Pokazał też zaświadczenie, że pracuje. Nosił aktualną datę, a sama decyzja zatrudnienia podjęta została najwyraźniej na nasz użytek.

A wiec się boi — pomyślałem — a jeśli się boi, nie wierzę, by miał do końca czyste sumienie.

Pewnego dnia jeden z wywiadowców przyniósł wiadomość, że na bazarze w Rembertowie pojawiły się pornograficzne fotografie.

Sygnarów o sprzedaży zdjęć tego typu mieliśmy więcej. Pojawiały się one od czasu do czasu oferowane przez z reguły nic nie wiedzących pośredników albo przez drobne płotki, najczęściej amatorów, na własną rękę przefotografowujących fotosy z zagranicznych pism. Były to zresztą niewielkie ilości — raczej detal niż hurt i dotąd poważniejszego, powiedzmy, problemu nie stanowiły. Przechowywano je w archiwach i stamtąd też zostały obecnie wydobyte.

Porównanie tamtych fotek z ostatnimi zdjęciami o tyle okazało się interesujące, że aż w czterech przypadkach modelki występowały na identycznym tle. Była to najwyraźniej leśna polana, na drugim planie

rysowały się drzewa i niskie krzaki. Modelki fotografowano na stojąco albo w pozycji leżącej, na kocu o dość charakterystycznym wzorze. Zdjęcia były oryginalne, nie kopiowane.

Stało mi przed oczami inne ujęcie: tył wozu Ignatowicza na tle drogi i lasów Puszczy Kampinoskiej.

Czyżbym był na dobrym tropie? — pomyślałem. — Czyżby właśnie tam, w lasach, a nie w mieszkaniach, łatwych do rozpoznania i identyfikowania w razie wpadki, wykonywane były zdjęcia? Chyba się nie myliłem. Już poprzednio zakładałem, że modelki niekoniecznie musiały być wynagradzane. Może więc były nimi dziewczęta dobierane przypadkowo, na przykład rekrutujące się spośród tych, które zaufały legitymacji asystenta operatora i uwierzyły w miraż kariery filmowej? Takiej dziewczynie w żadnym przecież wypadku nie wskazano by adresu, pod który by potem mogła ponownie dotrzeć.

Pasowało mi to wszystko jak ulał, jednakże wciąż stanowiło jedynie przypuszczenie, nie poparte konkretnymi dowodami. Poza tym nadal nie dostrzegałem jakiegoś ewentualnego związku między procederem, o/który podejrzewałem Żaka i Ignatowicza, a zabójstwem tego drugiego.

Zastanawiając się nad tytułem, jaki teraz powinienem dać, nie umiem wymyślić nic innego, jak tylko

KOC

Tak, właśnie ów koc z oryginalnym deseniem, zauważony przeze mnie na fotografiach. Tytuł może się wydać nawet i mało pociągający, zaręczam jednak, że, trafny. Ale na razie nie było jeszcze o kocu mowy.

Z bazaru, na którym został zatrzymany w momencie sprzedaży pornograficznych fotografii, przypro-
wadzono mi chuderlawego młodzieńca o długich, tłustych włosach, spływających na niebieską szwedkę z ortalionu. Miał tępe spojrzenie, za to taką skłonność do wylewnej, kwiecistej wymowy, że w pierwszej chwili niemal mi nic dał dojść do głosu. Dopiero gdy mu w dosadny sposób uświadomiłem miejsce oraz sytuację, w jakiej się znalazł, nareszcie zamilkł, rzucając mi jednak nadal spojrzenia absolutnej, acz uciśnionej niewinności.

Prawdę mówiąc właściwie — jak mi oświadczył — nie orientuje się, o co w ogóle chodzi. Zdjęcia wręczył mu przypadkowo napotkany człowiek, obiecując dwie dychy od każdego sprzedanego. Z człowiekiem tym umówił się pod bramą, niestety na spotkanie nic zdążył, ponieważ wcześniej „zdjęła” go milicja.

Opowieść była tak często spotykanym, niemniej tak naiwnym wykretem, że jedyne, co mogłem zrobić, to tylko uśmiechnąć się z politowaniem.

Sam młodzieniec wydawał mi się jednak postacią dość interesującą. Praską milicję — jako że z tamtej dzielnicy się wywodził — zdziwiła jego obecność na bazarze w charakterze sprzedawcy akurat pornografii. Dotąd znano go bowiem głównie jako pasera, handlującego przedmiotami, pochodzącymi z drobnych kradzieży, a utrzymującego kontakty między innymi z młodzieżowymi grupami, podejrzewanymi o włamania i okradanie samochodów.

Samochód Ignatowicza! — pomyślałem i poczułem wewnętrzne podniecenie. Może wreszcie trafiliśmy na właściwy ślad? Tylko jak dobrać się do tego bazarowego cwaniaka, aby powiedział prawdę? Z własnej, a nieprzymuszonej woli nie ujawni przecież historii, w których być może tkwi na całego. Musiałem szukać jakiegoś punktu zaczepienia, i to szybko. Znając podobny typ raczej drobnych aniżeli podejmujących większe ryzyko, przestępców założyłem, że najprawdopodobniej I ten nie poczuje się specjalnie uradowany sugestią, że poprzez sprzedaż pornografii trafił, być może, do sprawy o niebo poważniejszej, gdzie żartów

nie ma. Byłem przekonany, że tego rodzaju argumentacja łatwiej mu przemówi do rozsądku niż ewentualne pogrożki. Poza tym za paserstwo mógł odpowiadać z wolnej stopy, podczas gdy tamta groziła zatrzymaniem w areszcie na dłużej. Nikt zaś nie lubi siedzieć, tym bardziej bez odpowiedniego ku temu powodu.

Uświadomiłem mu to jasno i widziałem, że się namyśla, w głębi ducha waży za i przeciw. Nareszcie podjął decyzję i zdradził mi, że zdjęcia otrzymał od niejakiego Waldka, zajmującego się od czasu do czasu wraz z kolegami obrabianiem czy nawet kradzieżą samochodów. Waldek miał fotek więcej, jednakże on sam, jako człowiek nie zajmujący się do tej pory sprzedażą tego rodzaju towaru, zdecydował się jedynie na wzięcie w komis czegoś w rodzaju próbnej partii.

*

W przeciwieństwie do swego kumpla, pasera, Waldek okazał się człowiekiem milczącym, który wzdragał się nam wyznaj, w jaki sposób wszedł w posiadanie fotografii i dlaczego w jego mieszkaniu znalezione koperty, zawierające dalsze partie owego „towaru”.

Opierał się tuk długo, że w końcu ściągnęliśmy również co poniektórych kolegów z gangu. Ci albo byli z natury rozmowniejsi, albo też mieli mimo wszystko mniej od Waldka na sumieniu, skoro zdali nam dokładniejszą relację z owego wieczoru, kiedy to z parkingu na Pradze „pożyczyli” sobie fiata Ignatowicza. Celem owej operacji była po prostu najzwyczajniejsza w świecie chęć przejechania się. Samo wnętrze wozu przyniosło bowiem rozczarowanie. Nic znaleźli nic specjalnego, nawet głupiego tranzystora. Na parkingu trudno się było jednak dokładniej, przyglądać, poza tym chodziło przecież głównie o wycieczkę za miasto.

Pojechali Wałem Miedzeszyńskim nad Wisłę, wjechali w boczną drogę i stanęli na skarpie. Tutaj zaczął morzyć ich sen po wypitym na świeżym powietrzu alkoholu. Postanowili się zdrzemnąć. Kiedy wyjmowali i rozkładali fotele samochodowe, pod tylnym siedzeniem znaleźli liczne koperty. Początkowo myśleli, że to pieniądze, kto wie, czy nie dolary; za chwilę przeżyli rozczarowanie na widok wysypujących się zdjęć. Waldek zdecydował jednak, że dobre i to. Słyszał, że pornografia bywa towarem pokupnym i można na niej, zwłaszcza gdy fotek jest więcej, a tak właśnie było, wcale nieźle zarobić. Akurat skończyli oglądać zdjęcia, gdy okazało się, że w rozgardiaszu, jaki przy tym panował, któryś z nich musiał przez nieuwagę zapewne lub nieostrożność, bo przecież trochę się popychali, opowiadając pieprzne kawały, zwolnić dźwignię ręcznego hamulca. Fiat potoczył się po pochyłej skarpie i spadł z niej do Wisły tak prędko, że nie zdołali temu zapobiec. Woda była głęboka, jak zwykle pod wysokim brzegiem, więc wóz skrył się momentalnie.

Tak zakończyła się historia pechowej ze wszech miar jak się obecnie okazało, wyprawy.

Po długich i dość żmudnych, wielokrotnie powtarzanych czynnościach, których nie będę tu opisywał, udało nam się wreszcie przeprowadzić tak zwaną wizję lokalną oraz odnaleźć miejsce, w którym samochód spadł do wody. Istotnie Wisła miała w tym miejscu około 3 metrów głębokości. Wystarczyło, by całkowicie, razem z dachem, zakryć fiata, na wpół zakopanego w piaszczyste dno.

Wyciągnęliśmy go z niemałym trudem, za pomocą specjalnie sprowadzonego dźwigu.

Był to istotnie samochód Ignatowicza. Wydobyliśmy z niego kilka rolek filmów, schowanych, podobnie jak zdjęcia, w skrytce pod tylnymi siedzeniami. Większość z nich uległa zniszczeniu pod wpływem wody. Z tych, które zachowały się lepiej, nasze "laboratorium porobiło odbitki. Porównaliśmy je ze zdjęciami,

oferowanymi na bazarze przez pasera oraz z zawartością kopert, zakwestionowanych u szefa młodzieżowego gangu — Waldka. Zgadzało się. Fotografie kopiowano z tych m. in. filmów.

Prawdziwa niespodzianka dopiero mnie jednak czekała. Zgotował mi ją pozornie niewinny notesik w szarej, plastikowej okładce. Podobnie jak filmy, również i on był już mocno zniszczony przez wodę. Pozamazywała liczne zapiski tak, że były niemal nie do odczytania. Odkryliśmy jednak, że dwie sąsiadujące ze sobą kartki są sklezione — bodaj smarem, a pod tą warstwą rysują się litery. W ten sposób zostały jakby zakonserwowane i nasze laboratorium je odczytało. Zanotowano tutaj imię, nazwisko, adres, zawód — fryzjerka, chyba wiek, bo cyfra 19, oraz zapiski, dotyczące intymnych szczegółów anatomicznych. Następne dane były podobne, z tym, że dochodziły jeszcze cyfry oznaczające — tak mi się zdawało — numer telefonu.

Pierwszy adres zaprowadził nas do jednej z miejscowości podstołecznych i — jak sprawdziłem był już nieaktualny. Tamtejszy komisariat podawał, że obywatelka laka a taka przeprowadziła się do nowego osiedla na ulicę...

Żeby tam dotrzeć, jechałem najpierw 20 minut zatłoczonym pociągiem elektrycznym, później szedłem ulicą, obudowaną niskimi domkami, wśród których nierzadko trafiały się i drewniane, następnie piaszczystą drogą. Zza akacji i sosen wyglądały dawne „letniaki”.

Fryzjerka o imieniu Lila mieszkała niegdyś w jednym z nich. Prymitywny dom zajmowało wiele rodzin. Lila starała się wychodzić stąd jak najwcześniej, wracać jak najpóźniej. Wolny czas spędzała w Warszawie.

Tak właśnie próbowała obecnie ni to usprawiedliwić, J ni wytłumaczyć genezę swojej — zresztą przelotnej — znajomości z Ignatowiczem.

Szliśmy wolno ulicą wśród drzew, usiłowałem wywołać nastrój mało oficjalny, za to sprzyjający zwierzeniom.

Lila miała teraz lat dwadzieścia (co oznaczało, że notatka Ignatowicza pochodziła mniej więcej sprzed roku), modnie ostrzyżone rudawe włosy, duże, zielone oczy o powiekach wysmarowanych ciemnym tuszem i piegowatą, obficie upudrowaną twarz. Gdyby nie zgrabna figura, byłaby właściwie brzydka.

Dosłownie powiedziała mi wówczas tak — cytuję, zachowując jej styl:

„Człowieka tego poznałam późną wiosną, pod domem towarowym «Sezam» przy ulicy Marszałkowskiej. Wychodząc zauważyłam, że telewizja nakręca jakiś film.-W pewnej chwili podszedł do mnie mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu — czterdziestu lat. Poinformował mnie, że kręcony jest film, do którego potrzebne będą statystki, między innymi do scen na plaży i na basenie. Zapytał, czy-bym się ewentualnie zgodziła na udział w takim filmie, na razie jako statystka, a później, jak będę się nadawała, mogą mi zaproponować większą rolę.

Wyraziłam zgodę, a wówczas ten mężczyzna — zapomniałam powiedzieć, że mi się przedstawił jako reżyser czy też, dokładnie teraz nie pamiętam, operator filmowy, nie mówiąc jednak nazwiska, tylko zawód — stwierdził, że musimy się spotkać celem omówienia dalszych szczegółów. Umówiliśmy się następnego dnia w kawiarni «Hortexu» obok «Sezamu». Na wszelki wypadek wziął jeszcze ode mnie imię, nazwisko, wiek oraz adres, dane, potrzebne filmowi do spisania ze mną umowy oraz do ewentualnej korespondencji.

Następnego popołudnia okazało się, że muszą mi zrobić próbne zdjęcia. Chodziło o sprawdzenie, czy jestem fotogeniczna, czy umiem się odpowiednio poruszać, jak wyglądam w kostiumie kąpielowym, czy

jestem zgrabna i tak dalej. Dostałam też, sporządzoną na maszynie, umowę w trzech egzemplarzach. Musiałam ją przejrzeć i podpisać, że zgadzam się na próbne zdjęcia..."

— Co było dalej? — zapytałem widząc, że opowieść zaczyna się rwać.

— No cóż, pojechałam na te zdjęcia, ale widać nie wyszły dobrze, skoro ten pan nie mogła mówić o Ignatowiczu inaczej, nie znając jego nazwiska — więcej się ze mną nie skontaktował. A o co chodzi? — zainteresowała się dopiero teraz.

Pokazałem jej kilka fotek, zabranych paserowi na bazarze.

— Czy to były takie zdjęcia? — zapytałem.

Przejrzała je pobieżnie, zwracając mi po chwili.

— Podobne — odparła. — O, to na przykład — wskazała któreś — mnie też fotografowano w takiej pozie.

Poprosiłem, aby opowiedziała dokładniej, chciałem znać szczegóły. Zrobiła to . chętnie, nawet rozwlekle.

Ignatowicz przyjechał na kolejne spotkanie samochodem marki fiat. Powiedział, że wyjadą kawałek 'za Warszawę, ponieważ zdjęcia muszą być wykonywane w plenerze. Zatrzymali się gdzieś przy bocznej drodze, Ignatowicz wyjął aparaty, i weszli w las. Nawet niedaleko, na polanę. Tutaj Ignatowicz polecił Liiii przebrać się w kostium kąpielowy, później i ten zdjęć. Robił wiele fotografii, za każdym razem w innej pozie.

— Uwierzyła pani, że to do filmu? — zapytałem.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

— Jasne — odparła. — Słyszałam, że wszystkim aktorkom robi się teraz takie zdjęcia. Za granicą to w ogóle gołe występują, a w jakich pozach! Stale chodzę do kina i wiem. że na Zachodzie jest moda na sex. więc pewnie i do nas doszła.

Nie do wiary, ale dziewczyna była rzeczywiście przekonana, że zrobiono jej próbne zdjęcia do filmu. Nie mogłem się powstrzymać, żeby trochę złośliwie nie dodać:

— No. ale przecież do filmu pani się nie dostała...

— Trudno — westchnęła — widać się nie nadałam. Ten pan zresztą mnie uprzedzał, że tak się może siać i że bym nie miała później z tego tytułu pretensji.

— Więcej się pani już z nim nie spotkała?

—Nie. Pewnie też i przez zmianę adresu stracił mnie z oczu, Prawdę mówiąc, zapomniałam już o całej historii. A — zawahała się — czy ten filmowiec coś prze-skrobał, że mnie pan tak o niego wypytuje?

— Nic takiego — odrzekłem. — Po prostu zajmował się produkcją pornograficznych zdjęć, wykorzystując w tym celu młode, niedoświadczone dziewczęta. Następnie został zamordowany. Na dodatek wcale nie był filmowcem.

Zrozumiała z tego tylko jedno.

— Zamordowany?... — wyszeptała.

Numer dwa w notesie Ignatowicza był uczennicą liceum ogólnokształcącego, miał na imię Iza.

Odnalazłem ją od razu i łatwo, gdyż cyfry, zapisane przy jej nazwisku, okazały się rzeczywiście numerem telefonu. Ojciec Izy był dyrektorem departamentu w jednym z ministerstw, matka pracowała w instytucie naukowym. Córkę milicja podejrzewała o związki z grupami młodzieży, używającej środków odurzających, jednakże były to tylko podejrzenia — nie dowody.

Tyle dowiedziałem się od dzielnicowego i takie zebrałem informacje, zanim zetknąłem się z samą Izą.

Poszedłem tam po południu, a kiedy otworzył mi ojciec dziewczyny, przedstawiłem się, okazując legitymację służbową.

Następnie poprosiłem, aby zostawił nas przez chwilę samych. zaproponował, że wobec tego pójdą z żoną na spacer. Oboje nie ukrywali zdenerwowania, ponieważ nie mogłem im na razie powiedzieć, o co chodzi, a domyślać się mogli wiele. Iza wprowadziła mnie do swojego pokoju. Rzuciły mi się w oczy portrety młodzieżowych idoli piosenki i filmu, poprzypinane do słomianej maty na ścianie.

Wyciągnąłem legitymację — najpierw swoją, później Ignatowicza, prezentującą go jako filmowca.

Przez twarz dziewczyny przeszedł grymas — strachu, obrzydzenia albo ? obu uczuć naraz. Usta zadrgały, jednakże nie powiedziała ani słowa. Siadła tylko na wersalce, oparła brodę o splecione dłonie i tak podkurczyła nogi, że zobaczyłem chude łydki oraz spiczaste kolana. W ogóle cała była chuda — nie szczupła, ale właśnie chuda, o figurze chłopaka i drobnej, trójkątnej twarzy. Przypominała zalęknioną myszkę.

— Znała go pani? — zapytałem.

Pokręciła leniwie głową na znak przeczenia i był to ruch tak powolny, jak poprzednie.

— Skąd więc znaleźliśmy w notesie akurat pani nazwisko?

Znów ten sam ruch głowy, tym razem uzupełniony słowami:

— Nie wiem, nie mam pojęcia...

Czyżby zaszła jakaś pomyłka? — pomyślałem — czy też, dla siebie tylko znanych powodów, będzie się wypierać leż znajomości?

Sięgnąłem po inną broń. Pokazałem jej zdjęcia z lasu. Przejrzała je szybko, nerwowo i naraz zobaczyłem cień ulgi.

— A to? — Wyciągnąłem z teczki dużą kopertę, zawierającą zdjęcia, wykonane tuż po odnalezieniu zwłok Ignatowicza.

Wzięła je od niechcienia, lecz naraz zaszła w niej gwałtowna przemiana. Jakbym zaczął mieć przed sobą kogoś innego.

— Więc on... — wyjąkała. — On... Nie żyje, tak? Przynosi mi to pan, żeby pokazać, że on nie żyje?

Nagle straciła panowanie nad sobą i zaczęła się śmiać — głośnym, przenikliwym, histerycznym śmiechem.

Przeczekałem spokojnie ten wybuch. Za chwilę śmiała się już ciszej, potem jeszcze ciszej. W pewnym momencie jakby się ocknęła.

— Po co pan tu przyszedł? Po co? Po co? — Podnosiła głos na coraz wyższe oktawy. — Przecież już powiedziałam! Nie znam go! Nie znam go i nigdy go nie znałam! Słyszysz pan, nigdy! Nigdy!

— Musimy wobec tego wyjaśnić, skąd — i po co — zanotował pani telefon, szkołę, klasę...

Nadal uparcie milczała.

— Trudno — stwierdziłem sucho. — Zabieram panią na komendę. Może tam

'okaże się pani bardziej rozsądna?

— Na komendę? — powtórzyła. — Mam być aresztowana? Dlaczego? Przecież nic nie zrobiłam! Nic! Nic złego nie zrobiłam! O co pan mnie właściwie podejrzewa?

— Proszę pani — powiedziałem najłagodniej, zarazem najbardziej przekonywająco, jak tylko mogłem —? prowadzimy dochodzenie w sprawie o zabójstwo. Musimy wyjaśnić wszystkie okoliczności.

-- Ależ ja go nie zabiłam! Przysięgam! Nie zabiłam go! W ogóle nawet go nie znałam!

Była to wręcz beznadziejna rozmowa. Czuję, że Iza kłamie, a przecież nie widziałem sposobów, by skłonić ją do mówienia.

— Niech się pani ubiera — powiedziałem wreszcie zdesperowany.

Ociągając się, wstała.

— Czy to konieczne? — zapytała. — Nic przecież więcej nie powiem. I tak mi wszystko jedno. Niech się pan odwróci — poleciła — muszę się przebrać.

Że też mnie nic nie ostrzegło w jej głosie! Żadna intuicja, która rzekomo stale winna mi towarzyszyć! Przyznaję, że — odwracając się — popełniłem błąd. Czy jednak mogłem postąpić inaczej? .

Jednakże szczęście nie opuściło mnie do końca. Mam bowiem dość dobry słuch i właśnie on wyłowił najpierw chwilę ciszy, następnie pospieszne kroki. Moment, a będzie za późno — pomyślałem, lecz jeszcze wcześniej, zanim pomyślałem, już morze ciało wykonało obrót, a nogi skoczyły naprzód. Nagły impuls rzucał mnie do okna. Zdażyłem jednak tylko uchwycić bosą nogę dziewczyny. Cała reszta znajdowała się na zewnątrz. Dziewczyna wisiała głową w dół na wysokości VII piętra. Ciężar ciała ciągnął i mnie teraz również poza parapet. Iza wrywała się, kopała, najgorsze zaś, że przez cały ten czas, który mnie wydawał się wiecznością, a trwał zaledwie kilkadziesiąt sekund, wydobywał się z jej gardła już nie krzyk, lecz rozpaczliwe, makabryczne wycie. Zwabiło widocznie ludzi, ponieważ doszły mnie teraz z dołu jakieś głosy, wołania: „Ratunku! Milicja!”.

Właściwie nie myślałem wówczas ani o sobie, ani nawet o tym, co by ze mnie zostało, gdybyśmy oboje runęli w przepaść. Najbardziej bałem się tego, aby jej gołe nogi nie wysliznęły się z moich spoconych rąk i aby nie utraciła w ten sposób ostatniej więzi, łączącej ją ze światem żywych.

Wyteżając wszystkie siły, zacząłem ściągać ją do mieszkania. Krzyczała nadal, nadal też — tak mi się przynajmniej wydawało — opierała się moim wysiłkom. W pewnej chwili byłem już niemal gotów dać za wygraną.

Nie dam rady! — pomyślałem. Przecież ona nie chce, by ją ratować. Nie chce żyć! — i równocześnie poczułem, że osiągam sukces. - Ciało Izy przestało stawiać opór, stało się bezwładne, a więc łatwiejsze do dźwignięcia w górę. Domyślałem się, że pewnie twarz dziewczyny szoruje po murze, a ostry tynk zdziera skórę z jej policzków, rąk, piersi. Nie było jednak na to rady.

Doszło mnie jeszcze zbiorowe westchnienie tłumu, złane w jeden okrzyk : „Aaaa!” i — wciągnąłem Izę do środka. Widocznie straciła przytomność, ponieważ osunęła się ciężko z parapetu i — nie podtrzymana — upadła na podłogę. Z nosa płynęła krew, twarz przybrała odcień fioletowy. Zbadałem puls — jednak żyła!

Odetchnąłem i w tym samym momencie usłyszałem walenie w drzwi. — Milicja, otwierać:

*

Drugi raz mówiłem z Izą dopiero po kilku dniach. W tym czasie miałem już za sobą rozmowę z jej rodzicami. Początkowo wystąpili z oskarżeniami, że doprowadziliśmy córkę do tak desperackiego kroku. Musiałem im więc zrelacjonować w skrócie, o co chodzi, pokazałem fotokopię z zapisków Ignatowicza w notesie.

Nic nie wiedzieli o tej znajomości. Córka zawsze była skryta i nigdy nie zwierzała się ze swych kłopotów, choć pewnie miała niejednego. Tak przynajmniej sądziła matka, do której docierały od pewnego czasu krytyczne uwagi szkoły. Rzecz charakterystyczna ~- trudności wychowawcze z Izą zaczęły się dopiero gdzieś od zimy Ubiegłego roku. Do tej pory była może nie najlepszą, ale dobrą uczennicą, wesołą, towarzyską, lubianą. Raptownie się zmieniła. Nu pierwsze półrocze przyniosła już gorsze stopnie, zaczęła opuszczać lekcje, dostała się w nie najlepsze towarzystwo, nie uczyła się tyle, co dawniej. Równocześnie zmieniło się jej usposobienie: jak gdyby coś ją zaczęło gnębić.

Matka podejrzewała nieszczęśliwą miłość. Iza dawała jednak wymijające odpowiedzi. Raz i drugi przyszła do domu w dziwnym stanie — zauważyli, że znajduje się najprawdopodobniej pod działaniem środków odurzających. Oboje z ojcem mieli z Izą tak zwaną „zasadniczą” rozmowę. Później zaprowadzili córkę do psychiatry, który nie stwierdził żadnej choroby, następnie do psychologa. Psychologowi Iza oznajmiła, iż życie jej zbrzydło, nienawidzi wszystkich ludzi i nie widzi celu przed sobą.

To było właściwie wszystko. Niby mało, a przecież dawało sporo do myślenia.

*

Iza pozostawała nadal może już nie w szoku, lecz w stanie psychicznego otępienia. Na pytania nie reagowała. Nabrałem przekonania, że i tym razem nic z niej nie wyciągnę, ponieważ nie widziałem żadnych innych sposobów jak te, którymi się już przecież posługiwałem. Wreszcie postanowiłem ją sprowokować.

Jeśli i to zawiedzie — pomyślałem — wówczas spasuję. W końcu nie mam przecież nic przeciw niej oprócz nazwiska w notesie Ignatowicza.

— Dlaczego go pani zabiła? — rzuciłem

Spojrzała na mnie spod w półprzymkniętych powiek. Nie poruszyła się, nie drgnęła.

— Nie chce mi pani powiedzieć? No, cóż — rozłożyłem ręce — wobec tego ja pani opowiem pewną historijkę. Może akurat zaciekawi?... Powiedzmy, że wyglądało to tak. Pewnego dnia uroczy, inteligentny

pan około czterdziestki poznaje młodą dziewczynę. Przedstawia się jako filmowiec, operator czy reżyser, nieważne. Pokazuje legitymację. Dziewczyna nie wie — bo i skąd — że dokument jest sfałszowany, a elegancki pan nigdy nie miał i nie ma nic do czynienia z filmem. Proponuje udział w filmie, zachęca perspektywą kariery. Któż z młodych dziewczyn oprze się tak kuszącym propozycjom?

Relacjonowałem Izie, prawie dokładnie, historię opowiedzianą mi przez Lilę i po raz pierwszy od początku rozmowy zauważyłem, że słucha, przestała być tak denerwująco obojętna. Ciągnąłem więc szybko dalej.

— By jednak zagrać w filmie, trzeba przejść przez procedurę próbnych zdjęć. Dziewczyna się godzi, wyjeżdża w plener. Pan każe się rozebrać—dziewczyna oponuje, pan, że tak 'trzeba, bo teraz w filmie akurat taka moda. Dziewczyna jest niegłupia, być może coś jej w tym momencie świta, ale okoliczności — oddalenie, las, obcy mężczyzna, który wszak w każdej chwili może się stać groźny — sprawiają, że robi to, czego się od niej żąda. Tak powstają pornograficzne zdjęcia, które...

— Dość, słyszy pan? Dość, niech pan przestanie! — podniosła dłonie zwinięte w pięści i przycisnęła nimi uszy. — Nie chcę już dłużej tego słuchać! Nie mogę! Niech mi pan da wreszcie spokój! — Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, rozplakała się. Szlochała na cały głos jak małe dziecko i jak małe też dziecko nie miała chusteczki. Wyjąłem ze służbowego biurka paczkę własnych, ligninowych, podałem kilka. Wytarła nos i rzuciła mi spojrzenie spod zaczerwienionych powiek.

Czyżby nawiązywała się jednak między nami jakaś nić porozumienia? — pomyślałem.

Raz jeszcze pociągnęła nosem.

— Tak było? — spytałem cicho. — Tak panią zmusił do tego?

— Niezupełnie tak — odrzekła. — Nie był sam. Byli we dwójkę. O tym drugim powiedział, że to jego pomocnik. Asystent. Do ustawiania świateł, aparatów, obsługi technicznej. Zabawne, ale to mnie najbardziej pewniło, że mam do czynienia rzeczywiście z prawdziwymi filmowcami.

— Jak wyglądali? Może ich pani opisać?

Spojrzała na mnie z pewnym zdziwieniem.

— Myślałam, że pan wie... Ten pierwszy to ten... No, wie pan, ten, którego zdjęcia mi pan pokazywał.

Ignatowicz — to już wiedziałem.

— A drugi? — zapytałem.

— Drugi był nieco starszy, nic specjalnego. Ach, nie! Utykał na jedną nogę. Tak, wyraźnie utykał. Kiedy robili zdjęcia, wydawało mi się, że to raczej on gra tutaj pierwsze skrzypce. Wszystko ustawiał, kenderował, przyniósł ze sobą koc. Gruby koc w charakterystyczny deseń. Później właśnie na tym kocu...

Nie chciała więcej powiedzieć, ale i tak się domyśliłem. Widziałem przecież ów koc na niejednym zdjęciu. Jego deseń — jakieś arabskie budowle, minarety, czy-coś w tym rodzaju — miał zapewne dodawać fotografiom swoistego „pieprzyku”.

— Dlaczego pani nic nikomu później nie powiedziała? Choćby rodzicom? Albo nie poszła na milicję?

Poruszyła głową.

— Nie mogłam — odparła. — Myśli pan, że by mi ktokolwiek uwierzył? Nawet nie zapamiętałam numeru samochodu, tak byłam zdenerwowana. Kto by mi też uwierzył, że to wbrew mojej woli? Ich było dwóch, nawet gdybym ich kiedyś rozpoznała, zawsze mogli powiedzieć, że chciałam, że dostałam za to tyle i tyle pieniędzy. Czy pan sobie wyobraża, co za kompromitacja dla dziewczyny? Przeżycie dla rodziców? A jakby się dowiedzieli w szkole? Nie. Zresztą — powiedziała z pewnym wahaniem — cieszyłam się wtedy, że to się tylko tak skończyło. Ale byłam głupia!

Zauważyłem, że zbiera siły, by dopowiedzieć mi ciąg dalszy.

— Nie pamiętam, czy już panu mówiłam, że ten młodszy, nazwiska do tej pory nie znam, zapisał wtedy mój adres, datę urodzenia, liceum, do którego chodzę. Mówił, że będzie to potrzebne do sporządzenia umowy... Po pewnym czasie otrzymałam list pisany na maszynie i jedną z moich fotografii z lasu. Wie pan, o co chodziło?

Skinąłem potakująco.

— Szantaż?

— Coś w tym rodzaju. Że do dnia tego a tego mam wpłacić trzy tysiące złotych na podane nazwisko na poste restante w tym a w tym urzędzie pocztowym.

— Czy to było może nazwisko: Ignatowicz? — zapytałem. — Albo Żak? Kazimierz Żak?

— Nie. Jakies inne, ale nie powiem panu teraz, jakie. Zarówno list, jak i późniejszy kwit przekazu od razu spaliłam i starałam się o tym w ogóle nie pamiętać. Sądziłam zresztą, że to już koniec.

Jakże mógł to być koniec? — pomyślałem. Gdyby była starsza; bardziej obyta i mniej dziewczęco naiwna, zapewne wiedziałyby, że dla szantażysty końca nie ma. Jest tylko początek.

— Kiedy przyszedł drugi list?

— Mniej więcej po miesiącu. Zawierał kolejne zdjęcia i zapowiedź, że jeśli nie wpłacę żądanej sumy, fotografie zostaną przesłane rodzicom i do szkoły. Co miałam robić? — Głos jej się załamał. — Zapłaciłam nowe trzy tysiące. Poprzednio poświęciłam wszystkie oszczędności z książeczki. Miałam odłożone na narty, chciałam jechać w zimie do Zakopanego. Teraz, w tajemnicy przed rodzicami, sprzedawałam aparat fotograficzny. Pieniądze wysłałam.

— Nigdy się pani nie interesowała, co się z nimi działo? Nie chodziła pani sprawdzić, kto je odbiera?

— Nie. Znienawidziłam cały świat, wszystko mi zobojętniało. Przestało mi zależeć na szkole, na kolegach. Przestałam się uczyć. Chciałam zapomnieć. Któryś z kolegów zauważył mój nastrój. Powiedział, że ma coś dla mnie, co mnie rozweseli i zobojętni na życiowe problemy. Dal mi jakieś tabletki. Wzięłam, rzeczywiście pomogły. Spróbowałam jeszcze raz... Później jeszcze... Brnęłam coraz dalej, a nie widziałam odwrotu. Dostałam trzeci list. Zabrałam matce pierścionek z szuflady, sprzedałam. Jej ukochany pierścionek, okropnie rozpaczała. Czułam się strasznie. Czy mogłam jednak coś powiedzieć? Coraz częściej myślałam o samobójstwie.

— Nadszedł kolejny list?

— A po co? W tym trzecim zapowiedziano, że odtąd co miesiąc, aż do ukończenia szkoły, będę płacić „ulgową”, jak to określono, taryfę — „specjalnie dla uczennic”, czyli 1.500 zł. Później ulegnie ona podwyższeniu. Jeśli się choć trochę opóźnię z regulowaniem należności, wówczas moje zdjęcia dotrą tam, gdzie trzeba, więc powinnam wszystko sobie rozważyć.

— I jaką decyzję pani podjęła?

— Że płacić nie będę. Trudno, niech się dzieje co chce. Niech mnie wyrzucą ze szkoły, a rodzicom ja-
koś wytłumaczę. Może uwierzą.

— Słusznie — pochwaliłem — ale dlaczego dopiero teraz, nie wcześniej?

— A pan by na moim miejscu zrobił inaczej? — odrzekła pytaniem na pytanie.

— No więc dobrze — odezwałem się. — Założmy, że wierzę i że wszystko, co mi tu pani opowiedziała,
jest prawdą...

— Absolutnie — przycisnęła obie ręce co piersi, gestem przysięgi.

— Jakoś nie mogę jednak pogodzić z tym pani późniejszej reakcji. Skąd ten desperacki krok? Jeśli by-
ła pani szantażowana i dowiedziała się, że szantażysta nie żyje. raczej powinna pani czuć ulgę. niżli skakać
przez okno...

Spojrzała na mnie z powagą.

— Pytał mnie pan, czy go znam. ale nie mówił, o co chodzi. Pokazał pan jego legitymację — legityma-
cję filmowca. Potem zdjęcia. Mnie na nich, na szczęście, nie było. Ale był ten sam las, ten sam koc, te same
ohydne pozy... Wyczułam niebezpieczeństwo. Później jeszcze koperta... Fotografie, na których go zobaczy-
łam. Trudno było nie poznać, że ktoś go zamordował. Pan chciał mnie zabrać de komendy. Zrozumiałam, że
mnie podejrzewacie i że musicie mieć coś przeciwko mnie, jeśli się tu pan zjawił. Może nawet coś więcej
niż ten adres w notesie. Jak miałam się bronić? Okoliczności znów się sprzysięgły przeciw mnie. Wtedy
właśnie... Pan wie, że już to dawno chciałam zrobić... I... gdyby nie pan... — Spojrzała na mnie z wdzięcz-
nością. — Dopiero wtedy, za oknem, zrozumiałam... Że nie chcę... Że wszystko lepsze niż śmierć.

Czy było tak rzeczywiście, jak mówiła? Identyczną wersję powtórzyła również przy konfrontacji z
Kazimierzem Żakiem.

Żak naturalnie wyparł się tej znajomości. Kiedy jednak postawiliśmy go wśród ośmiu innych męż-
czyzn — Iza rozpoznała go natychmiast. Gdy na dodatek „rozpracowano” bardziej szczegółowo kilka daw-
nych spraw, dotyczących sprzedaży zdjęć pornograficznych, okazało się, że były w nich takie, w których
nikt inny. a właśnie tak zapoczątkowywał „łańcuszek”, kończący się z reguły na bazarach lub u pokątnych
handlarzy. Na razie stwierdziliśmy tylko tyle, nie wykluczając jednak i możliwości przemycania zdjęć za
granicę.

Żak pojął, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu. Spróbował inaczej. Zmienił taktykę i zaczął grać na
nucie szczerości oraz skruchy. Przyznał się do wykonywania i rozpowszechniania pornograficznych zdjęć
współ z Ignatowiczem, chociaż autorstwo pomysłu przypisywał — co mi się z góry wydało mało prawdo-
podobne — właśnie temu drugiemu. Wskazał miejsce, w którym ukrył rolki filmów. Odbitki natomiast
zniszczył zaraz po pierwszym przesłuchaniu. Od tej też pory żadnych już zdjęć nie dostarczał i gdyby nie
wypadek z fiatem Ignatowicza. zapewne prędko by się na rynku nie pojawiły.

Zapytałem, czy to on dostarczył Ignatowiczowi sfalszowaną legitymację filmowca. Potwierdził wspo-
minając, iż zdobycie jej przyszło mu łatwiej ze względu na kontakty, nawiązane podczas kolejnych pobytów
w więzieniach.

— Kto wpadł na pomysł z szantażem — zapytałem — kto typował kandydatki, odbierał pieniądze, po-
sługując się kolejną sfalszowaną legitymacją lub skradzionym dowodem? Pan czy Ignatowicz? — Nie wie-
rzyłem, aby wypadek Izy był jedyny i odosobniony.

— Nie mam z tym nic wspólnego! — wykrzyknął. — Jeśli zdarzyło się coś takiego, to na pewno nie ja! On poznawał dziewczyny, zapisywał ich nazwiska i adresy. zajmował się wszystkimi — przez dłuższy czas szukał odpowiedniego słowa, wreszcie je znalazł — formalnościami. Ja byłem od strony technicznej i od rozprowadzania towaru. Musieliśmy się w końcu jakoś tym dzielić.

— A koc? — zapytałem jeszcze. Chciałem jedynie, by mi wskazał miejsce, gdzie ukrył koc, cenny jako dowód rzeczowy, tymczasem on odczytywał widać moje intencje po swojemu, skoro zbladł i drżącym, ochrypłym głosem wyszeptał:

— Nie wiem, co macie przeciwko mnie, ale przysięgam, że to był tylko przeklęty zbieg okoliczności.

Później powiedział więcej...

6

„Spowiedź” Żaka, jak ją następnie nazwałem, nagrano na taśmę magnetofonową, przepisano na maszynie i dołączono do akt. Stamtąd ją wziąłem i obecnie przytaczam, dokonując jedynie niewielkich skrótów i retuszy. Usuwałem też własne pytania, ażeby zachować ciągłość relacji. A oto ona:

„Z Ignatowiczem umówiłem się kilka dni wcześniej, przed niedzielą. We wtorek miałem mu przynieść koc, który oddałem do pralni chemicznej. Sprawa była dość pilna, gdyż na środę planowaliśmy spotkanie z jakąś dziewczyną i wykonanie zdjęć. Kim miała być ta dziewczyna — nie wiem, gdyż Ignatowicz zdawał się najczęściej na przypadkowe znajomości, które zawierał, posługując się sfalszowaną legitymacją filmowca.

Ignatowicz miał czekać na mnie u siebie w domu, między godziną ósmą a dziewiątą wieczór. Niestety nie mogłem przyjść punktualnie, bo w pralni okazało się, że zapomniałem kwitu i muszę się wracać. Później wpadłem jeszcze na chwilę do restauracji, gdyż byłem głodny. Tak więc, zanim dojechałem, była prawie dziesiąta, może później. W każdym razie na dworze panowała już zupełna ciemność, na tamtej ulicy jeszcze większa, ponieważ jest to ulica stosunkowo niedawno zbudowana i nie ma zainstalowanych latarni.

Idąc zauważyłem, że we wszystkich pokojach na parterze willi zajmowanej przez Ignatowicza oraz w przedpokoju palą się światła. Równocześnie usłyszałem jakieś głosy. Pomyślałem, że może Ignatowicz ma gości, raczej nie powinienem mu przeszkadzać. Jednakże dźwigałem dość ciężki koc i trochę niewygodnie byłoby mi się z nim wracać.

Stanąłem więc, zastanawiając się, co dalej począć. Wpatrywałem się w okna, lecz wszędzie wisiały grube zasłony. Wreszcie postanowiłem się trochę przejść, wypalić papierosa i dopiero wtedy wrócić.

Wypaliłem dwa papierosy, jednego po drugim. W pobliżu willi usłyszałem znów głosy, później muzykę. Zrozumiałem, że to nie goście, ale po prostu radio. W tym momencie dostrzegłem, że światła w pokojach gasną. Jedno po drugim, bardzo szybko.

Sam nie wiem dlaczego, ale ogarnęło mnie naraz dziwne uczucie niepokoju. Zatrzymałem się i ukryłem w krzakach po drugiej, nie zabudowanej na razie stronie ulicy. W willi zrobiło się ciemno. Nie usłyszałem odgłosu otwieranych drzwi. Zauważyłem tylko, że zza furtki wysuwa się jakaś postać.

Kiedy znalazła się na ulicy, wydało mi się, że ją poznaję. Wynurzyłem się z krzaków. Miałem rację. To była Teresa; ta sama Teresa, o której już raz opowiadałem. Nazwiska nie znam. wiem natomiast, że pracuje jako ekspedientka w komisie.

Rozejrzała się, ale ponieważ znajdowałem się w tym momencie z tyłu. za nią, więc mnie nie zobaczyła. Zaczęła bardzo szybko iść. prawie biec. Mimo to dogoniłem ją. Na mój widok przestraszyła się. Zapytała, co tu robię i czy ją szpieguję. Zrobiła się napastliwa. Chciałem odejść, ponieważ poczułem się obrażony, ale ona nagle zupełnie się zmieniła. Zaczęła prosić, żebym jej źle nie zrozumiał. Była trochę zdenerwowana, ale przecież ma męża i obawia się, aby ten nie dowiedział się o jej dzisiejszej wizycie i o tym, że kontynuuje znajomość z Ignatowiczem. zaproponowała, żebyśmy poszli się czegoś napić na uczczenie naszego spotkania. Jej mąż i tak się nie zorientuje, gdyż wyjechał w delegację.

Poszliśmy do -Melodii- na Nowym Świecie i tam bawiliśmy się prawie do rana. Po powrocie do domu przespałem się trochę, zjadłem co nieco, wziąłem koc i pojechałem na Marymont.

Nie byłem pewien, czy zastanę Ignatowicza. jednakże zobaczyłem, że furka i drzwi są otwarte.

Wszedłem do przedpokoju i od razu potknąłem się o coś. co leżało tuż za progiem. Runąłem na podłogę, koc wypadł mi z rąk. Próbując znaleźć oparcie, chwyciłem jakiś wystający przedmiot, który mi został w rękach. Gdy wreszcie wstałem, zapaliłem światło — zrozumiałem grozę sytuacji. Ignatowicz leżał na podłodze, najpewniej od wielu godzin martwy, a ja trzymałem w ręce duży nóż o drewnianej rękojeści. Najwidoczniej wyszarpnąłem go z rany.

Pomyślałem, że ze mną koniec. Na kocu była krew, na nożu — odciski moich palców. Zrozumiałem, co robiła w willi Teresa, gdyż raczej nie wątpiłem, kto jest sprawcą. A teraz — wszystko może być na mnie. Nawet gdybym opowiedział o wieczornym spotkaniu, Teresa zawsze może zeznać, że opuściła Ignatowicza żywego i że to właśnie ja go zabiłem.

Wszystkie te myśli przeleciały mi przez głowę w jednej chwili. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. W każdym momencie mógł tu się zjawić ktoś obcy.

Od tej pory działałem jak we śnie. Pierwsze, co zrobiłem, to schowałem nóż. Były na nim odciski moich palców i choćbym je nie wiem jak wycierał, zawsze istniało prawdopodobieństwo pozostawienia śladów. Musiałem się pozbyć i koca, nie opuszczając jednak willi zwyczajnie, przez drzwi, gdyż obawiałem się, iż ktoś mnie zauważy. Zwinąłem koc. wsunąłem go pod puchę i najostrożniej, jak tylko mogłem, przeszedłem do pokoju, którego okna wychodziły na ogród, a nie na ulicę. Ręką owiniętą w koc otworzyłem okno i znalazłem się na ziemi. W dole rosły chwasty oraz wysoka trawa, więc nie pozostawiłem żadnych śladów.

Przeskakiwałem przez ogrodzenie, kiedy dostrzegłem zbliżającego się mężczyznę. Człowiek ten odciął mi drogę ucieczki, gdyż stanął akurat w przejściu i zaczął obserwować teren przez lornetkę. Schowałem się więc w krzaki i zacząłem myśleć, co dalej. Musiałem się ulotnić jak najprędzej, a z ciężkim i nieporęcznym kocem nie miałem szans przekraść się niepostrzeżenie. Niewiele myśląc, podczołgałem się do jakiejś, wydawało mi się, opuszczonej komórki, stojącej obok, i wepchnąłem koc w półotwarte okienko w dole. Następnie udało mi się wyminać człowieka z lornetką.

Byłem zadowolony, że się wymknąłem, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, kiedy nagle spostrzegłem brak noża. Nie miałem pojęcia, gdzie go zgubiłem, a i nie mogłem wrócić, gdyż człowiek z lornetką tkwił nadal na dawnym swym miejscu. Poza tym bałem się ryzykować po raz drugi. Zawierzyłem więc mojej

szczęśliwej gwiazdzie, licząc na to, iż nawet po wykryciu morderstwa nikomu nie przyjdzie do głowy prowadzić poszukiwania po odległych od domu Ignatowicza komórkach, A kiedy się wszystko uspokoi — pomyślałem — zajmę się tym jakoś. Ponieważ jednak na drugi dzień była już w willi milicja..."

Następnie Żak wskazał nam pomieszczenie oraz okienko, do którego wpełznął koc. Nie była to żadna komórka, tylko opuszczona i dawno nieczynna stara kotłownia. Koc wpadł za jedną z zardzewiałych rur. tak głęboko, że stał się prawie niewidoczny z zewnątrz. W kocu zaś — tak. w kocu znajdował się ów nóż z drewnianą rękojeścią. Zapewne dostał się tu przypadkowo, zaczepiony i pociągnięty przez włochaty materiał. Tak więc mieliśmy dwa pierwsze dowody rzeczowe i dwoje podejrzanych — samego Żaka oraz Teresę Tobolczyk.

Teresę zatrzymaliśmy natychmiast po powrocie z urlopu. Jej opalona twarz nie zdołała jeszcze zblednąć. Podobnie jak dawna zwierchniczka — Alicja Pizoń — również i sama Teresa miała farbowane na kasztanowo włosy i była mocno umalowana.

Widocznie taki styl — pomyślałem, unikając spojrzenia jej zalanych łzami oczu.

Pląkała właściwie bez chwili przerwy od momentu odczytania jej w prokuraturze postanowienia o tymczasowym aresztowaniu. Musieliśmy się zdecydować na ten krok — zeznania Żaka bardzo ją obciążały.

Załamano się już przy pierwszym przesłuchaniu i — teraz ona z kolei — opowiedziała swoją wersję wydarzeń.

Poznała Ignatowicza poprzez starszą koleżankę z komisji — Alę Pizoń. Została jego kochanką. Pewnego razu Ignatowicz, wykorzystując fakt, że była po paru wódkach, namówił Teresę do zrobienia sobie kilku zdjęć o charakterze pornograficznym. Fakt ten nie miał dla niej szczególnych następstw aż do momentu, kiedy zdecydowała się wyjść za mąż za człowieka wprawdzie od siebie mocno starszego, ale na stanowisku.

Nie powiedziała wręcz, że Ignatowicz ją szantażował, dała jednak do zrozumienia, że poczuł się urażony i zaczął jej zagrażać. Zależało jej więc bardzo na odzyskaniu negatywów i gotowa była za nie nawet wiele zapłacić. W końcu w grę wchodziło małżeństwo, pozycja oraz dobra posesja.

Spotkanie z Ignatowiczem mogła zaaranżować jedynie podczas nieobecności męża. Okazja nadarzyła się wtedy, gdy tego drugiego delegowano na tydzień za granicę.

We wtorek wieczorem Teresa pojechała na Marymont. Drzwi wejściowe stały otworem. W przedpokoju znalazła Ignatowicza. Już nie żył.

W pierwszym momencie zamierzała uciec. Później doszła do wniosku, że oto nadarzyła się może jedyna okazja do odzyskania kompromitujących zdjęć. Zamknęła drzwi wejściowe na klucz, włączyła radio, aby zagłuszyć ewentualny hałas, zasunęła zasłony, zapaliła światła. Jednym słowem zrobiła wszystko, co tylko możliwe, aby dom sprawiał wrażenie nadal zamieszkałego.

Przeszukała metodycznie całą willę, uważając, ażeby nie pozostawić po sobie żadnych śladów. Sytuację ułatwiał fakt, że przyszła w rękawiczkach.

Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Fotografii nie było, a nie wiedziała nic o skrytce w samochodzie.

Pogasiła światła i wyszła. Na ulicy spotkała Kazimierza Żaka. Przypuszczała, że to właśnie on „zalał” Ignatowicza, ale ogarnął ją strach; widział ją wychodzącą z willi i może to wykorzystać. Stąd wzięła się jej początkowa ostra reakcja, a później, gdy trochę się zastanowiła, propozycja wspólnego wypadu do restauracji.

Zeznania Teresy pokrywały się mniej więcej z tym, co już słyszałem od Żaka. Oboje zresztą zgodnie podtrzymywali swe wersje przy konfrontacji. W zeznaniach Żaka zastanowił mnie natomiast fragment, dotyczący mężczyzny z lornetką. Mógł to być, co prawda, przypadek lub nawet wytwór fantazji człowieka, który chce od siebie odsunąć podejrzenia, lecz tak czy tak, sprawa zasługiwała na bliższe zbadanie. Żak — czemu się nie dziwię, zważywszy okoliczności — nie potrafił podać szczegółowego opisu tamtego mężczyzny. Określił go jako człowieka dość niepozornego, raczej niskiego niż wysokiego i raczej chudego niż grubego. Taka charakterystyka pasowała do dobrych kilku albo nawet kilkudziesięciu tysięcy mężczyzn. Tylko że z tej liczby jedynie niewielu tak dalece mogło interesować miejsce zamieszkania Ignatowicza. by je aż obserwowali przez lornetkę.

Samą lornetkę Żak opisał jako teatralną, niewielką i białą. Kiedy go pytałem, czy rozpoznałby zauważonego wówczas mężczyznę wśród innych, zawahał się i odrzekł, że może, ale pewności nie ma. - W każdym razie był to już jakiś trop i pewne okoliczności mnie zastanowiły. Lornetkę podobną do opisywanej też chyba gdzieś niedawno widziałem.

Nóż, znaleziony w kotłowni, przeszedł szczegółowe badania. Był to wyrób znanej fabryki Gerlacha, z gatunku dostarczanego jedynie do firmowego sklepu na Nowym Świecie. Stan ostrza wskazywał na użycie go tylko ten jedyny raz. Musiał więc zostać zakupiony w czasie bezpośrednio poprzedzającym zbrodnię.

Żadna z ekspedientek nie potrafiła sobie przypomnieć nabywcy noża — sklep ma zbyt wielu klientów, aby mogły spamiętać każdego.

Na rękojeści odkryto przyczepione drobiny metalowych opiłków oraz mikroskopijne plamki tłustej i lepkiej substancji.

Wysunięto hipotezę, że i albo nóż został zabrudzony podczas niesienia go w kieszeni, torbie czy teczce — czyli sprawca musiał mieć do czynienia z miejscem, w którym zanieczyszczenia tego typu mogły istnieć — albo też powstały one podczas ujmowania go zabrudzoną rękawiczką. Obie wersje prowadziły jednak do tej samej konkluzji.

To odkrycie sprawiło, że kilka najbliższych dni spędziliśmy na sprawdzaniu pewnych szczegółów. (Równocześnie z pierwszych przesłuchań, głównie sąsiadów Ignatowicza, wylawiałem te i inne spostrzeżenia. Niebawem obraz zaczął się układać w dość przekonującą całość. Konstrukcja mogła jednak w każdej chwili runąć, gdyż opierałem się bardziej na poszlakach niż na dowodach. By zyskać potwierdzenie — lub zaprzeczenie — potrzebowałem pilnie mężczyzny z lornetką. Jeśli zaś Żak go zauważył — niewykluczone, że dostrzegli go również Inni.

Kręcący się po wiadomej ulicy wywiadowcy zdobyli parę informacji. Po kilku dniach udało się sporządzić tak zwany portret pamięciowy. Gdy był już gotowy, poczułem wewnętrzne podniecenie. Chyba zbliżałem się do ostatecznego celu.

Zapraгнаłem, o ludzka słabości, by zakończenie było efektowne. Postanowiłem rozegrać je tam, gdzie dokonano morderstwa. Nie oszukujmy się jednak — chciałem także wykorzystać atmosferę owego miejsca oraz nastroj chwili, aby tym pewniej osiągnąć sukces, na który w duchu liczyłem.

Początek całej sceny wypadł nieco powieściowo, banalnie. Po prostu postarałem się o to, ażeby wieczorem, w momencie, kiedy na dworze było już zupełnie ciemno, w willi zebrali się ci wszyscy, którzy mieli lub mogli mieć jakiś ewentualny związek z zabójstwem Zenona Ignatowicza.

Razem ze mną w pokoju znajdowało się sześć osób. W tym gronie chciałem zaprezentować własną teorię wydarzeń, które doprowadziły do zamordowania I Ignatowicza.

Pominę porządek, w jakim zasiedliśmy, ponieważ nie gra on tutaj żadnej szczególnej roli. Pominę też coś w rodzaju mojego własnego wstępu, wyjaśniającego cel, dla którego postanowiłem zorganizować spotkanie, wreszcie protesty („Nie mam z tym przecież nic wspólnego!”), które cierpliwie przyjmowałem.

— Każdy z was — powiedziałem przechodząc do bardziej szczegółowych już wyjaśnień (tu powiodłem oczami po wszystkich twarzach) — miał osobiste powody, aby zamordować Ignatowicza. W wypadku Kazimierza Żaka mogły to być nieporozumienia w kwestiach finansowych, np. podziału zysków, płynących ze wspólnie uprawianego procederu. Teresa Tobolczyk za wszelką cenę, może i za cenę zbrodni, pragnęła odzyskać kompromitujące zdjęcia. Zoja i Mariusz Strojni — razem lub każde z osobna — obawiali się wcale realnych gróźb żadnego zemsty Ignatowicza. Adam Małysz od lat nienawidził Ignatowicza, obwiniając go o śmierć żony i dziecka. Wszyscy milczeli, więc ciągnąłem dalej.

— O ile na początku stanęliśmy przed pytaniem: kto zabił? — o tyle później

. krąg osób zaczął się zawężać. Zabić Ignatowicza mogła bowiem jedynie osoba, która z jego śmierci odnosiła bezpośrednią korzyść. To założenie prowadziło do stopniowej eliminacji podejrzanych.

Ale nie tylko. Rozważyć trzeba było okoliczności samej zbrodni. W momencie znalezienia zwłok drzwi willi stały otworem. Ten fakt podkreślany był we wszystkich zeznaniach świadków, Ignatowicz sam więc musiał wpuścić do środka swojego mordercę. A jeśli wpuścił — oznacza to, że go nie tylko znał, ale i że się go nie obawiał.

Wychodząc z tego założenia, wyeliminować musiałem — zwróciłem się w stronę Żaka — dziewczęta, z którymi Ignatowicz miał do czynienia jako fałszywy filmowiec. Zdjęcia robione były bowiem w lesie i żadna z pokrzywdzonych na pewno nie znała waszych adresów. Znała je natomiast Teresa Tobolczyk, z którą zamordowany utrzymywał bliższe stosunki. Z jej zeznań wynika jednak, że kiedy weszła do willi na Marymoncie, Ignatowicz już nie żył.

Pozostańmy na razie przy tej wersji, a zajmijmy się na odmianę Kazimierzem Żakiem. Żak wyjaśnił, że znalazł się na Marymoncie we wtorek wieczór, spotkał Teresę Tobolczyk, i razem z nią spędził noc na dansingu. W tłumaczeniu jest pewna luka — nie wiadomo, o której Żak przyjechał naprawdę. Jeśli bowiem nastąpiło to wcześniej, miał wystarczająco dużo czasu, by zabić Ignatowicza.

Żak poderwał się i chciał zaprotestować, ale go powstrzymałem ruchem ręki,

— Przeciw temu przypuszczeniu — kontynuowałem — przemawiało natomiast właśnie spotkanie z Teresą Tobolczyk. Jeśli Żak był rzeczywiście mordercą swego współnika, wówczas zależeć powinno mu raczej na tym, aby ulotnić się z Marymontu jak najszybciej, a nie narażać się na podejrzenia.

Żak odetchnął z ulgą.

— Następnego popołudnia — ciągnąłem — Żak znajduje martwego współnika. Uciekając, spostrzega mężczyznę, obserwującego dom przez lornetkę.

Zamilkłem na chwilę.

— Po co pan to robił? — zapytałem nagle Małysza,

Strzał był celny. Małysz spojrzął na mnie rozszerzonymi oczami. Jego twarz stała się blada, jak gdyby odpłynęła z niej cała krew.

Milczał.

— Nie chce pan odpowiedzieć? Panic Żak — zwróciłem się teraz w inną stronę — czy tego właśnie mężczyznę z lornetką widział pan na Marymoncie?

— Chyba tak...

— Jak będzie? — zapytałem Małysza. — Wydaje mi się, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu. Niechże pan tu nam poda jakieś logiczne wytłumaczenie swego zachowania. Domyślam się, że pan wiedział... — zaakcentowałem ostatnie słowo, nie kończąc zaczętego zdania. — Może jednak w obsesyjnym pragnieniu zemsty i poszukiwaniu sprawiedliwości nie chciał pan przeoczyć jeszcze jednego momentu satysfakcji — na przykład wyniesienia zwłok Ignatowicza? Jak długo pan tam stał? Jak długo czekał?

Rzucałem te pytania znacznie już pewniejszy, że idę właściwym tropem: Żak rozpoznał Małysza. Znaleźli się także i świadkowie. Kilka osób widziało Małysza w sąsiedztwie mieszkania Ignatowicza. I to nie tylko owego popołudnia, gdy Żak zwrócił na niego uwagę. Również wcześniej. Poza tym przypomniałem sobie, gdzie spostrzegłem lornetkę, podobną do opisywanej. Leżała na szafie w pokoju Małysza.

Małysz podniósł głowę, krzywiąc usta w nieprzyjemnym grymasie i chrząknął nerwowo.

— Tak długo, aż się doczekałem — rzucił sucho. W jego głosie pojawił się znany mi już odcień satysfakcji.

Teresa Tobolczyk nie mogła powstrzymać mimowolnego okrzyku.

— Ach, więc to on... — szepnęła prawie z ulgą.

Ta sama ulga odbiła się na twarzach pozostałych osób. Udałem, że jej nie widzę.

— Jak to było? — zapytałem.

Znów się zaciął w uporczywym milczeniu. Nadszedł decydujący moment. Celowałem w ciemno, lecz jeśli nic zawiodą mnie intuicja oraz te poszlaki, jakie mi się dotąd udało zebrać...

— Dlaczego właściwie osłania pan mordercę?

Opuszczona głowa podskoczyła jak u pajaca, pociągniętego nagie za sznurek.

— Uważa go pan za ramię sprawiedliwości, która wreszcie dosięgła Ignatowicza?

Usłyszałem niespokojne poruszenia i szepty.

— Co uważam, to moja sprawa — odparł niechętnie. — Dlaczego akurat ja miałbym, jak to pan określił, osłaniać mordercę? A może sam zabiłem? — zapytał z zaczepką w głosie.

Denerwował się z minuty na minutę coraz więcej i o to mi właśnie chodziło. Musiałem go doprowadzić do stanu, w którym straci panowanie nad sobą. Inaczej nic z niego nie wyciągnę. Podejrzywałem zaś, że wie wiele. Poza tym miałem za mało poszlak, musiałem go sprowokować do mówienia. Wierzyłem, że jego wyznania będą miały decydujące znaczenie w odsłonięciu prawdy.

— Nie — odparłem krótko — chociaż nie przeczę — dodałem — że zdolny pan był nawet i do tego, jeśliby się nic znalazł ktoś, kto by pana uprzedził. Ale Ignatowicz nie mógł zginąć z ręki kogoś, kogo by nigdy w życiu nie wpuścił do mieszkania, komu by po prostu nie otworzył drzwi. A pana by nie wpuścił — prawda? Widział pana przecież na procesie i chyba się domyślał autorstwa anonimów, jakie co jakiś czas otrzymywał. Dla pana natomiast śledzenie Ignatowicza oraz jego reakcji na listy, oczekiwanie na nią mogło się stać swojego rodzaju obsesją.

We wtorek wieczór też pan tam pojechał, zapewne jak zwykle zaopatrzony w lornetkę. Zapewne też stanął pan w miejscu, skąd — będąc samemu niewidocznym — dobrze widać willę i jej otoczenie. Wtedy pan ujrzał...

Myślałem, że dokończy, ale był widać twardy, skoro tylko zapytał:

— Niby co?

— Na przykład pewnego mężczyznę. Ignatowicz otworzył mu drzwi. Może umówili się wcześniej, choćby w interesach?

Celowo puściłem teraz wodze fantazji. Zresztą, prawdę mówiąc, tak to właśnie Sobie wyobrażałem.

— Nie wiem, czy usłyszał pan jakiś krzyk, czy też drzwi szybko zamknięto. Zakładam, że coś pan tam słyszeć musiał, albo — przynajmniej — domyślał się. No więc Ignatowicz krzyknął. Musiał krzyknąć, skoro nagle oblano mu twarz żrącą substancją. Pewnie się też przewrócił. Wówczas otrzymał pierwszy cios nożem, później dalsze. W jakiejś chwili nóż zagłębił się pewnie zbyt głęboko i trudno go było wyciągnąć. Więc został. A razem z nim zostały na rękojeści ślady... W czym pan przyniósł nóż? — odwróciłem się gwałtownie w stronę Mariusza Strojnego. Elegancki playboy raptownie skurczył się. zmałał, zniknęła gdzieś poprzednia pewność siebie. — W teczce ze śladami kurzu, metalowych opiłków i smaru z pańskiego warsztatu? W kieszeni? A może ujmował pan rękojeść noża przez zabrudzona, w warsztacie rękawiczkę?

Nagle zaszło coś nieoczekiwanego. Zoja poderwała się z miejsca, podbiegła do męża i zasłoniła go przede mną obronnym gestem.

— Zostawcie go! — krzyknęła. — To nie on! To ja! Słyszycie?! Ja zabiłam Ignatowicza i słusznie mu się to należało. Kiedyś, po pijanemu — powiedziała ciszej — uderzył mnie. Byłam wtedy w ciąży, przewróciłam się. Dziecko przyszło na świat za wcześnie, umarło. Miałam więc z nim stare rachunki — teraz je wyrównałam i wcale nie żałuję! Nie! Kupiłam nóż. włożyłam do teczki Mariusza. Z warsztatu zdobyłam żrący środek. Wcześniej umówiłam się telefonicznie z Ignatowiczem. Powiedziałam, że muszę się z nim spotkać w ważnej sprawie. Domyślałam się, że nie odmówi. Jak tylko otworzył drzwi, oblałam go kwasem, uniemożliwiając obronę. Później uderzałam nożem, na oślep — raz. drugi, dotąd, dopóki się jeszcze ruszał...

Czy mi się tylko wydawało, czy w oczach Strojnego dostrzegłem — tak! — błysk zaskoczenia. Popatrzyłem znów na Zoję. Stała nadal w tej samej teatralnej pozie.

— Nie za późno było czasem na tę zemstę? — stwierdziłem sceptycznie. — Przecież minęło sporo lat...

— Nie — zaprzeczyła histerycznie. — Wciąż mnie prześladował! Nie dawał mi spokoju! Miałam go dosyć!

— Mam inny motyw — powiedziałem spokojnie. — Prozaiczny, ale wydaje mi się prawdziwszy. Ignatowicz miał was oboje w ręku. Stał się niebezpieczny, gdyż dowiedział się zbyt wiele o interesach, dokonywanych za parawanem warsztatu szanownego małżonka. Zapowiada się, sądząc z pierwszych informacji naszych ludzi, spora afera dewizowa. Pewnie zaczął was szantażować. I to akurat w czasie, gdyście się

szukowali do odlotu i gdy złożyliście wnioski paszportowe na wyjazd za granicę. Zagroził całej waszej egzystencji. No i ze strachu... Z tego strachu właśnie, z lęku o siebie i męża, o pieniądze, zabiła go pani.

— Nie — odezwał się nagle Małysz. — To nie ona. Bardzo panią przepraszam — wyciągnął rękę w kierunku Zol — ja wiem, że pani pewnie broni męża, że pani go kocha. Ja też kochałem swoją żonę i znam ból po stracie. Dlatego nie żałuję Ignatowicza. Ale nie mogę zgodzić się z tym, żeby pani brała całą winę na siebie. Ja przecież wszystko widziałem. Byliście we dwoje. Pani zadzwoniła, mąż schował się w cieniu. Ignatowicz otworzył, później usłyszałem krzyk, a wtedy pani mąż wbiegł do środka... Wyszliście razem, od tyłu nie od ulicy, tylko przez ogrodzenie. Myśleliście, że nikt was nie widział. Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro, proszę pani, że to tak jakoś wypadło, ale suma pani widzi... Dotąd nikomu o tym nie mówiłem i nie powiedziałbym, żebym nie został zmuszony. Pani mnie rozumie, prawda? Pani...

— Ty idioto! — powiedziała z pogardą Zoja. — Ty biedny, głupi idioto!

W komendzie siedziałem do późna w nocy, pisałem sprawozdanie. Gdy przyjechałem do domu, moja żona już spała. Wyszedłem na balkon. Wokół pobłyskiwały światła wielkiego miasta. Zatęskniłem za urlopem.